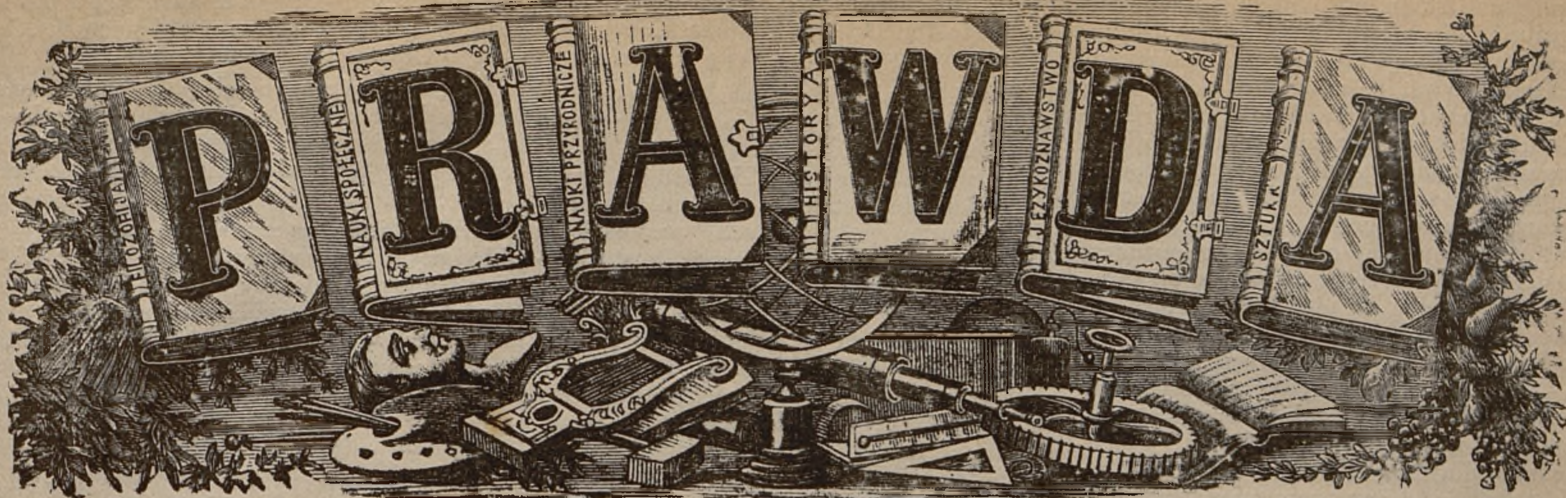
№ 51. Warszawa, dnia 22 (10) Grudnia 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od ... do 5 po południu.
Rękopisy drobne ... wracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Jubileusz samolubstwa. — Tydzień polityczny. — Nad brzegiem morza. Guy de Maupassant. — *Życie społeczne*: Z nad Dunaju p. Stwosza.— *Badania naukowe*: Zagadnienie celowości. — Kartki naukowo-artystyczne p. K. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska. Kajetan Koźmian: Poezye prozą p. W. P. — Z Niemiec p. Cezarego Jelentę. — Teatr p. A. G. B. — *Poezya*: E Notrio Romano. (Giosuè Carducci). Do pewnych krytyków p. Egrota. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

O wczesne nadsyłanie prenumeraty uprzejmie prosimy. Abonenci przybywający od nowego roku, nabyć mogą dwa pierwsze zeszyty **Antropologii** *za kop. 50 (z przesyłką pocztową kop. 65).*

POLITYKA.

JUBILEUSZ SAMOLUBSTWA.

O Riegerze, którego 50 rocznicę działalności politycznej a 70-ą życia obchodzili przed tygodniem czesi, możemy mówić chłodno, bez zaprawiania sądu uczuciami sympatyi lub niechęci. Bo jeżeli nawet wraz z jego czcicielami musimy mu przyznać istotne zasługi pisarskie lub polityczne, to tylko w obrębie interesów własnego narodu. Czytelnik polski, który zna wielu badaczów Francyi, Anglii, Niemiec, Włoch, o Riegerze jako uczonym nic nie wie a tej niewiadomości poczytywać sobie za grzech nie potrzebuje. O polityku oddawna i ciągle słyszymy, ale i ta dziedzina czynów jubilata zamyka się wyłącznie w granicach jego ziemi. Nazwano go najznakomitszym dziś słowianinem. Jest to przesada toastowa. Wielkiego człowieka Słowiańszczyzna obecnie nie posiada, posiadają tylko wielkich ludzi narody słowiańskie. W żadnym zaś razie tytuł ten nie należy się Riegerowi, który był zawsze i jest tylko czechem odbijającym w sobie wszystkie wady i zalety swego narodu: pracę, wytrwałość, zdolność wyzyskiwania warunków stałych i przypadkowych a po nad tem wszystkiem nieugięty, z wszelkim sentymentalizmem rozbratany i ciągle we własną korzyść wpatrzony egoizm. Jak bywają jednostki samolubne, tak i narody. Do nich należy a nawet wydatne między nimi miejsce zajmuje czeski. Po za patryotyzmem i walką o byt nie płoną tam i nie promienieją żadne wielkie ideje, a jeżeli czesi czczą gwiazdy i słońca, przewodniczące ludzkości, to tylko o tyle, o ile w ich promieniach mogą ogrzać swój interes. Każdy potężny prąd wieku oceniają zawsze z tego stanowiska, czy on obraca skrzydła wiatraków, w których mielą swoją mąkę, czy też nie. Zdaje się, jak gdyby ich unerwienie było czysto politycznem, jak gdyby dla innych uczuć nie posiadali żadnej wrażliwości. Dzięki tej jednostronności wyszli zwycięzko z pod ucisku, wydobyli się z niedoli i uratują swój byt narodowy, ale przewodniej roli śród ludów słowiańskich nie odegrali i nie odegrają, bo musieliby wyzuć się ze swego samolubstwa, ze swej natury. Podawali rękę węgrom, podaliby ją botokudom, poświęciliby najbliższych pobratymców (słowacy), gdyby za tę cenę zdobyli dla siebie zysk poważny. Historyozofię, etykę, socyologię, wszystkie zasady i teorye przepuszczają przez szkła zabarwione egoizmem. Tak potężnie rozwinięty instynkt samozachowawczy może zdziałać wiele i w życiu czechów rzeczywiście zdziałał, ale jest zupełnie niezdolny do poświęceń dla cudzego dobra. To też Rieger, który jest wcieleniem ducha większości swych rodaków, z nimi tylko ma rachunek zasług i wdzięczności, a od słowian nie należy mu się ani jeden listek wawrzynowy. *Warsz. Dniewnik*, polemizując z *Krajem*, który patryotę czeskiego nazwał „jednolitym" i szczodrze obdarzył go zaszczytnymi... przymiotnikami, przypomina jego wycieczkę do Moskwy w roku 1867, korespondencyę z Aksakowem i późniejsze przedzierganie się w inne postacie, a przytem zaznacza, że na uroczystości jubileuszowej wystąpił ozdobiony dwoma orderami: ruskim i austryackim. Rzeczywiście było to prawdziwie czeskiem i riegerowskiem. I naród i jego przedstawiciel nie chcą wybierać żadnego z dwu krzyżujących się z sobą kierunków politycznych, wolą rozszerzać nogi i iść okrakiem, zachować dwa lica i obydwoma się uśmiechać. Z jednej strony — jak mówi przysłowie — mają wróbla w ręku, z drugiej spoglądają ku szczygłowi na sęku. Tu biorą, z niczego nie kwitując, tam grają w loteryę.

Musielibyśmy tedy opuścić stanowisko ogólnie ludzkie a nawet słowiańskie i stanąć na czeskiem, ażeby pojąć i ocenić znaczenie Riegera. Wtedy rzeczywiście przedstawi się on jako działacz wielkiej siły i donioslych zasług. Przez lat 50 żył dobrem swej ojczyzny, karmił się patryotyzmem jak chlebem codziennym, nie żałował pracy i zabiegów, okazał rozległy talent polityczny, zdobył w walce narodowej buławę hetmańską — ale nic więcej. Na czoło jego ludy słowiańskie nie włożą wieńca, mogiły jego nie skropią łzami, u świateł życia jego nie zapalą swych gromnic. Powiedzą o nim, że był to znakomity samolub czeski, który myślał wyłącznie o gnieździe rodzimem i nigdy nie bronił cudzego. On wchłonął w siebie własny naród i naród jego wchłonie. Żadnej spuścizny krewniakom plemiennym nie zostawi po śmierci, jak nie obdarzył ich żadną ofiarą za życia.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Za wypadkami wyniosła się i uwaga publiczna z Europy, o której przez cały tydzień ubiegły prawie wcale nie myślano. Naprzód bowiem politycy pospieszyli do Persyi, która groziła zatargiem z Rosyą o konsula; ale spostrzegłszy, że tam nie ma co robić z mikroskopami i spektroskopami, przelecieli do Afryki. Przybyła bowiem stamtąd, podobno już niezawodna wieść, że Emin pasza i Stanley, dwaj podróżnicy europejscy, dostali się w moc Osmana Digmy.

Nadto w sejmie niemieckim Windhorst wystąpił z wnioskiem udziału Niemiec w stłumieniu handlu niewolnikami murzyńskimi. Szanowny przywódca ultramontanów powiedział kiedyś, że musiałby rano wstać, ktoby go chciał wyprowadzić w pole. Tym razem, zdaje się, Bismarck wstał rano i zaprowadził go tam, gdzie „perła mepeńska“ ani myślała się znaleźć. Po bankructwie Towarzystwa wschodnio-afrykańskiego i po smutnych doświadczeniach z kolonizacyą, kanclerz umył ręce od działań w tej sprawie. Ale ponieważ nie stracił chęci do prób dalszych a obawiał się wziąć ich wyniki na własną odpowiedzialność, więc nagle — i to jest wysoce charakterystycznem dla tego człowieka — uczuł szczególne nabożeństwo do konstytucyonalizmu i wielki szacunek dla przedstawicieli narodu. Wysłał tedy do sejmu syna pierworodnego z oznajmieniem, że rząd wtedy tylko podejmie na nowo sprawę kolonizowania brzegów Afryki wschodniej, jeśli taką będzie wola parlamentu. W owym zaś parlamencie pojawił się wniosek Windhorsta; więc go przyjęto i pod tym płaszczem rycersko-chrześciańskim rozpocznie się zakładanie pasieki kolonizacyjnej z rojów niemieckich na wybrzeżu afrykańskiem. Jak się powiedzie to przedsięwzięcie, zobaczymy, ale to pewna, że niemcy, otrzymawszy dobrą naukę, pojadą teraz cywilizować murzynów obłaskawieni, z obciętymi a przynajmniej wsuniętymi pazurami, bez tej buty pruskiej, której rogi przytarto.

Z Afryki przeniósł się wzrok polityków do Ameryki. Izba francuska, odrzuciwszy projekt rządowy i odmówiwszy poparcia Towarzystwu kanału panamskiego, nietylko zadała śmiertelny cios temu ciału, ale niebezpiecznie podważyła olbrzymie przedsięwzięcie. Oprócz ryb grubych uczestniczy w niem swemi oszczędnościami masa drobnych (około 800,000 małych kapitalistów francuskich) — cała ta gromada stanęła obecnie nad przepaścią. A dalej wyobraźmy sobie, ile ucierpią przerwane roboty, ile wyniknie strat, jaki zamęt powstanie śród legionu robotniczego, który postrada zajęcie. Zaledwie ogólnikowo napomknąć możemy o skutkach zachwiania się kolosu francuskiego. Do rozdmuchanego przez Izbę ognia bulanżyści zaczynają już wrzucać swoje kasztany, a można im ufać, że podłożą jego głownie pod ściany Rzeczypospolitej. Dziwny fatalizm! Każdy ruch Francyi wprowadza jej nawę na skały.

Jest dotąd niewyjaśnionem, co spowodowało rząd niemiecki, bardzo surowy w przestrzeganiu form dyplomatycznych, do pogwałcenia ich względem Hiszpanii. Jej poseł w Berlinie, Benomar, obwiniony o zdradę tajemnic państwowych przywódcom stronnictwa konserwatywnego, został odwołany ze swego stanowiska. Pomimo wszakże dymisyi, pomimo przybycia jego zastępcy, nie chciał ustąpić i zdać mu służby. Ale nie dość tego: rząd niemiecki, chociaż zawiadomiony o zmianie, nie przestawał utrzymywać stosunków z p. Benomarem a nawet okazywać mu szczególnej sympatyi. Krótko mówiąc, jest to skandal dyplomatyczny, po za którym tkwi coś, co jeszcze nie wychyliło się z pod osłony.

Cesarz niemiecki cofnął skargi przeciw dwu gazetom za przedrukowanie pamiętników Fryderyka III. Jeżeli wytoczenie procesu (na zasadzie prawa własności literackiej!) nie wywarło w narodzie wrażenia dodatniego, to cofnięcie pozwu odbić się mogło tylko zwiększonem niezadowoleniem. Nawet dzienniki poddańcze bąknęły, że cesarz widocznie nie miał roztropnych doradców. A przecie w ich gronie był i ks. Bismark!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 12 grudnia.

Sprawy kolonii polskiej w Wiedniu: uroczysty obchód w d. 8 grudnia. — Trzeci wiec polski.—Urządzenia wystawy produktów galicyjskich w Wiedniu.— Jubileusz cesarza Franciszka Józefa. — Fundacya Hirscha.

Naprzód uroczysty obchód, jaki odbył się w dniu 8 grudnia w sali Towarzystwa muzycznego, za staraniem grona posłów i poważnych członków tutejszej kolonii polskiej, uczynił na wszystkich najpodnioślejsze wrażenie. Program skromny a poważny rozpoczął się słowem wstępnem ks. Jerzego Czartoryskiego.

Część muzyczną objęli p. Swoboda, oraz pani Weychert. P. Swoboda odegrał na fisharmonii ustępy z kompozycyj Żeleńskiego, a następnie akompaniował pani Weychert.

Najwybitniejszą częścią programu był wykład posła Szczepanowskiego. Autor „Nędzy Galicyi,“ należący dziś do posłów najwybitniejszych, posiada obok szerokiej wiedzy teoretycznej, znajomość kultury i polityki ludów zachodnich, odznacza się poglądami samodzielnymi, jest zarazem mówcą niepoślednim. To też wywody jego historyczno-polityczne budziły ogólne zajęcie.

Zakończyła pierwszą część programu deklamacya akademika Madeyskiego.

Część druga, czysto artystyczna, odznaczała się niezwykłą starannością wykonania.

Wiec polski — trzeci z rzędu — jaki odbył się nazajutrz, po obchodzie właśnie opisanym, w sali „Zum goldenen Sieb,“ na niejednym uczynił wrażenie dramatu satyrów, następującego po tragedyi greckiej. Bądź co bądź, było to zajmujące zgromadzenie wszystkich prawie warstw społeczeństwa polskiego; to też w obradach uwydatniały się wszystkie prawie jego kierunki. Rozprawiano o urządzeniu w Wiedniu stałej wystawy wyrobów galicyjskich ze szczególnem uwzględnieniem przemysłu domowego w celu zdobycia rynku dla wytworów galicyjskich. Sprawą tą zająć się miało stowarzyszenie „Zgoda,“ nowopowstałe z połączenia „Pracy“ i „Zgody,“ a zwiększone licznym zastępem inteligencyi, pragnącej być pomocą klasie rzemieślniczej. Na czele inteligencyi tej stali z jednej strony demokratyczni członkowie Koła polskiego, Lewakowscy, Rutowski, Niemczynowski, Orzechowski, po za nimi Szczepanowski, z drugiej strony grupa klerykalna: ks. Chotkowski, ks. Kopeciński i ks. Krechowiecki. Przewodniczącym wiecu obrano po długich sporach i mimo protestu partyi socyalistycznej, k. Krechowieckiego, który w przemowie wstępnej starał się zbić zarzut, jakoby reprezentował kierunek klerykalny i cechę tę pragnął narzucić całemu wiecowi. Zanim przystąpiono do właściwe-

---

Nad brzegiem morza. *)

Guy de Maupassant.

Położyłem się do łóżka, czułem jednak, że spać nie będę, leżałem więc na wznak, z oczami przymkniętemi, ale myślą rozbudzoną i drgającymi nerwami. Oprócz miarowego oddechu służącego, po za cienką ścianą, najmniejszego ruchu, najlżejszego szmeru w pobliżu lub w dali.

Nagle coś zgrzytnęło. Co? nie wiem, ale odgłos ten łagodny, bolesny, żałosny wstrząsnął całem mojem ciałem; potem nic, cisza nieskończona płynąca od ziemi aż do gwiazd. Nagle znów dał się słyszeć ów jęk przenikliwy; doznałem uczucia, jak gdyby mi kto piłował serce ostrzem wyszczerbionej szabli. Słuchałem z niespokojnem oczekiwaniem i jeszcze raz posłyszałem ten głos, wychodzący jakby ze mnie, wydzielający się jakby z moich nerwów, raczej dźwięczący we mnie, jak odezwa potężna, głęboka i rozpaczliwa! Tak, był to głos straszny, głos znany, oczekiwany, doprowadzający do szału, budzący trwogę, drzemiącą na dnie serca każdego z żyjących, głos, który bezustannie odzywa się w naszej duszy w sposób tajemniczy, bolesny, męczący, szarpiący, nieukojony, niezapomniany, okrutny i wyrzuca nam wszystko, cośmy zrobili i zarazem, czegośmy nie zrobili, głos żalu za dniami upłynionymi, za nadziejami nieurzeczywistnionemi, za rozkoszami zwodniczemi, za wszystkiem, co przechodzi, co zawodzi, co znika, czegośmy nie osiągnęli, czego nigdy nie osiągniemy.

Wśród tej ciszy nocnej, głos ów mówił mi o zmarnowanem życiu, o niedołęstwie umysłu, o słabości ciała, o wszystkiem, co mógłbym był kochać, czego pragnąłem, oczekiwałem, o czem marzyłem, co chciałem widzieć, rozumieć, znać, zakosztować, za czem mój nienasycony a biedny i słaby umysł gonił, ku czemu się rwał, niemogąc zniszczyć krępujących go więzów niewiadomości.

Wszystkiego pożądałem a niczego nie użyłem. Trzeba mi było posiadać żywotność całej rasy, różnorodne odcienie inteligencyi podzielonej między miliony ludzi, wszystkie zdolności, wszystkie siły i tysiące istnień w zapasie, bo noszę w sobie wszystkie żądze, nieugaszone pragnienie wiedzy, skazany zaś jestem na przypatrywanie się wszystkiemu, a niepochwycenie niczego.

Dlaczego życie jest szczęściem dla innych a dla mnie tylko cierpieniem? Dlaczego mię trawi jakaś nieokreślona męczarnia? Dlaczego nie mogę zakosztować istoty przyjemności i rozkoszy?

Bo posiadam ten drugi wzrok, będący zarazem siłą i nieszczęściem pisarzów. Piszę, bo rozumiem wszystko i cierpię nad tem co jest, cierpię, bo znam świat zbyt dobrze, bo się przypatruję wszystkiemu w zwierciedle mej myśli.

Niech nam nie zazdroszczą, lecz niech nas żałują. A czy chcecie wiedzieć czem się różni piszący od innych ludzi.

W nim nie istnieje żadne uczucie w pierwotnej swojej prostocie. Co tylko widzi, co czuje, wszystkie uciechy, przyjemności, cierpienia, rozpacze, stają się przedmiotami jego obserwacyi. Mimowoli, mimo wszystkiego, analizuje bezustannie: serca, twarze, ruchy, dźwięk głosu. Cokolwiek się stało, musi zaraz sobie wyjaśnić, dlaczego się stało. Żaden jego poryw, żaden okrzyk, żaden uścisk nie jest szczerym, nie zna tych wybuchów niezrozumiałych, bezwiednych, bez zastanowienia, nadewszystko bez zdania sobie z nich sprawy.

Jeżeli cierpi, rozbiera to cierpienie i klasyfikuje je w swej pamięci; wróciwszy z cmentarza, gdzie pochował tę lub tego, których najbardziej w świecie kochał, mówi do siebie: „Co za szczególne uczucie, zdaje mi się, że jestem pijany boleścią itd.“ I przypomina sobie wszystkie szczegóły zachowania się sąsiadów, kłamaną boleść i fałszywy smutek na twarzach, tysiączne nic nie znaczące okoliczności, uwagi artystyczne, przeżegnanie się starej kobiety, trzymającej dziecię na ręku, promień słońca, padający na jakieś okno, psa, który przeszedł drogę przed karawanem, obraz, jaki tworzył pochód pod cieniem ogromnych cisów cmentarnych, głowę żałobnika i twarz jego pomarszczoną, wysiłek czterech ludzi,

*) Patrz nr. 49.

go przedmiotu, przyjęto wniosek Grzegorza Smólskiego, iż wiece polskie nadal odbywać się mają regularnie trzy razy do roku.

Wreszcie wszczęła się dyskusya o przedmiocie głównym. P. Aloizy Trug odczytał dłuższe sprawozdanie o przemyśle galicyjskim, o produktach ziemnych i wyrobach przemysłu domowego, którym rokował znaczny w Wiedniu odbyt, skoroby urządzono tu skład ich hurtowny i detaliczny. Doradzał zarazem wspólną wystawę polskich przemysłowców, mieszkających w Wiedniu. P. Czyżewicz rozwinął projekt towarzystwa akcyjnego. Na nowe tory weszły obrady, kiedy p. Rybkowski zaproponował rozszerzenie projektu całego na wszystkie grupy ludu,ześrodkowanie wszelkich wyrobów przemysłu ogólno-polskiego na rynku wiedeńskim. Poparł pogląd ten dr. Gnatowski, który mieszka oddawna na Wschodzie i zwiedzając wszystkie stacye handlowe Azyi aż do Chin, przekonał się, że wiele wyrobów polskich pod obcą firmą płynie w najdalsze strony; zwłaszcza drzewo i szkło polskie spotkać można w Azyi pod firmą wołoską, niemiecką i angielską. Przedmiotu tego dotknął też poseł Rutowski; dowodził on, że niektóre gałęzie przemysłu polskiego istotnie opieki już nie potrzebują i same znalazły drogę za granicami kraju. Co do innych zaś, starał się wykazać zwodność nadziei, iżby wiec wiedeński i jego projekty faktycznie i skutecznie mogły się niemi zaopiekować. Lewakowski przedstawiał niewykonalność projektu pewnego przemysłowca tutejszego, aby rząd otworzył wystawę wyrobów galicyjskich w muzeum handlowem; wpływ posłów polskich, pozornie tak znaczny, nic ma siły dostatecznej, aby nakłonić rząd do jakiejkolwiek opieki nad przemysłem polskim. Tak więc zwolna trzeźwość zaczynała brać górę; a kiedy wreszcie członek partyi radykalnej poddał krytyce jeszcze wielkie projekty przemysłowców wiedeńskich, wyłonił się wniosek wybrania biegłych, którzyby sprawę zbadali i roztrząsnęli, a następnie na podstawie zebranych materyałów zaproponowali sposoby osiągnięcia celów, jakie wytknął sobie bezpośrednio wiec wiedeński. Do komisyi tej uproszono posłów bliżej z przedmiotem obeznanych, w ich liczbie i Szczepanowskiego; ma ona znosić się z wydziałem stowarzyszenia „Zgoda“ i z komitetem wiecu i przygotować referat swój na wiec następny, który się odbędzie w drugiej połowie stycznia roku przyszłego.

Dnia 2 grudnia przypadła 40-letnia rocznica wstąpienia na tron Franciszka Józefa. Rozwój stosunków państwa austryackiego za panowania tego cesarza nazwać można pomyślnym. Należy on do owej generacyi, która wystąpiła na widownię publiczną w r. 1848. Kiedy osiemnastoletni cesarz objął tron po wuju swym, miał rzec: żegnaj mi moja młodości! I niepodobna zaprzeczyć, iż chociaż nie zaniedbywał rozrywek, zwłaszcza łowów, poważnie zajmował się sprawami państwa. Ludy, złączone węzłem państwa austryackiego, jemu zawdzięczają udział swój w rządach monarchii i krajów, samodzielność i dojrzałość polityczną. Ziemie austryackie za jego panowania znacznie postąpiły w kulturze. Powstał stan wolny włościański, miasta podniosły się, przemysł przyswoił sobie wszystkie zdobycze techniki nowoczesnej, komunikacya połączyła wszystkie części państwa z zagranicą; smak produkcyi wyszlachetniał, wyroby austryackie, na całej prawie kuli ziemskiej są znane i odznaczane. Runął ucisk kast uprzywilejowanych w życiu politycznem, a nauka swobodniej rozchodzi się w społeczeństwie, aniżeli dawniej. Protestanci i żydzi równouprawnieni; prasa zakwitła; wychowanie ludu znacznie poprawione, a wybitną cechę nadaje panowaniu Franciszka Józefa wspaniały rozkwit sztuki, który w stolicy państwa uwiecznił się w budynkach pomnikowych. Postać Austryi zmieniła się przytem gruntownie. Nietylko w dziedzinie politycznej, ale też w kulturalnej, dawniejszy charakter jej niemiecki ustąpił pod wpływem cywilizacyj słowiańskich. Języki i zwyczaje słowiańskie, a nadewszystko smak, przeważają dziś w Austryi. Daremnie opozycya niemiecka żywiołom tym odmówić chce uzdolnień do utrzymania państwa austryackiego na wysokości roli kulturalnej, jaka im przypadła w udziale. Nieugięta na polu polityki, roszczenia swe do monopolu cywilizacyi wycofuje zwolna z programu swego. Skoro monarsze, obchodzącemu jubileusz czterdziestoletni, ludy Austro-Węgier wdzięczności swej odmówić nie mogą, to nie w małej części należy mu się ona za to, iż będąc głównie wojskowym, zabezpieczył jednak krajom swej monarchii pokój dwudziestoletni, który pozwolił dojrzeć i rozwinąć się siłom materyalnym i duchowym. Z powodu tego urządzano w porze wiosennej i letniej rozliczne wystawy, które wykazywały postęp dokonany od lat czterdziestu. W grudniu miały się odbyć różne uroczystości. Na wyraźne życzenie cesarza jednak zaniechano ich, nawet zwykłej iluminacyi. Jedynie przedstawiciele miasta Wiednia kazali wybić medal pamiątkowy o wysokiej wartości artystycznej. Według pomysłu profesorów Tantenhayna i Scharfa w stylu starożytnych kamej imperatorskich. Posiada on na przodzie wizerunek Franciszka Józefa, otoczonego cnotami, na odwrocie wizerunek rozszerzenia Wiednia. Monarcha na rydwanie tryumfalnym, wiedziony przez geniusza pokoju, zbliża się do ratusza; tu wita go postać Vindobony, wręczając mu wieniec wawrzynowy.

Cesarz zabronił szumnych uroczystości, pragnąc powstrzymać nieprodukcyjne wyrzucanie grosza, chętnie natomiast przyjmował fundacye czynione z powodu jego pamiątki. Poszedł tedy długi ich szereg; zdawało się, iż wszelkiemu głodowi i nędzy wszelkiej, wszelkiej potrzebie oświaty i bezpieczeństwa zapobiegnie ów strumień złota, sączący się z rozwartych nagle sakiewek bogaczów. Najznaczniejszą a zarazem najdonioślejszą dla Galicyi i ludności jej fundacyę stanowi dwanaście milionów, ofiarowanych przez barona Hirscha (jak wiadomo, poddanego austryackiego) „na rozszerzenie nauki elementarnej, oraz na popieranie rękodzieł i rolnictwa w Galicyi, księstwie krakowskiem i Bukowinie.“ Fundacya ta, przeznaczona przedewszystkiem dla ludności żydowskiej, ma na celu zwrócenie dorastającego pokolenia żydów zacofanych ku pracy produkcyjnej, niemniej jednak podnieść ma ogólną oświatę ludową i służyć za źródło wsparcia dla chrześciańskiej klasy pracującej. Statut podaje jako środki urzeczywistnienia celów powyższych: 1) zakładanie szkół ludowych, oraz szkółek freblowskich; 2) wspomaganie nauczycieli, którzyby się zobowiązali pozostawać przez czas pewien w szkołach fundacyjnych; 3) zasiłki dla szkół żydowskich; 4) zakup książek, rekwizytów szkolnych, rozdawanych bezpłatnie ubogim uczniom bez ró-

---

spuszczających trumnę do grobu, jednem słowem mnóstwo drobiazgów, którychby zwykły śmiertelnik, cierpiący całą duszą, całem sercem, nigdy nie zauważył.

On wszystko widział wszystko zachował w pamięci mimo swej woli, gdyż przedewszystkiem jest pisarzem i mózg ma zbudowany w ten sposób, że odbicie jest u niego żywszem, jeśli się można tak wyrazić, od pierwszego wstrząśnienia, echo donośniejszem od pierwiastkowego tonu.

Zdaje się, jak gdyby miał dwie dusze; jedna zapisuje, wyjaśnia, roztrząsa każde wzruszenie, drugiej, sąsiedniej, właściwej, wspólnej wszystkim ludziom; i żyje skazany na to, aby być w każdej okoliczności odbiciem siebie i drugich, ażeby przypatrywać się sobie jak cierpi, działa, kocha, myśli — a nie cierpieć, myśleć, kochać, czuć jak wszyscy — po prostu, szczerze, bez badania swego ja, po doznaniu radości lub smutku.

Jeżeli rozmawia, często słowa jego wydają się złośliwemi, dla tej prostej przyczyny, że umie patrzeć przenikliwie i widzi wszystkie ukryte sprężyny uczuć i czynów ludzkich.

Jeżeli pisze, nie może powstrzymać się od rzucenia na papier wszystkiego, co widział, co zrozumiał, o czem wie i to nie wyłączając krewnych, przyjaciół. Odsłania z bezstronnością okrutną serca tych, których kochał lub kocha, przesadza nawet często dla spotęgowania wrażenia, zajęty jedynie swym utworem, a nie obowiązkami serca.

Jeżeli kocha, jeżeli kocha kobietę, kraje ją jak trupa w szpitalu. Co tylko ona mówi, co robi, jest bezustannie ważone na niezmiernie czułych ważkach spostrzegawczości, jaką go natura obdarzyła i pomieszczone w właściwym dziale. Niech mu się nierozważnie rzuci na szyję w chwili uniesienia, osądzi ten jej wybuch pod względem jego właściwości siły dramatycznej i potępi go nieodwołalnie, jeśli poczuje, że nie był takim, jakim być powinien.

Działacz i widz samego siebie i innych, nigdy nie jest działaczem tylko. Wszystko wokoło niego staje się szklane: serca, czyny, zamiary tajemne; ulega dziwnemu cierpieniu, rodzajowi rozpołowienia mózgu, co go czyni istotą przerażająco wrażliwą, złożoną i udręczoną.

Oprócz tego jego nadmierna i chorobliwa czułość sprawia, że każde prawie wrażenie bywa dlań bolesnem.

Przypominam sobie dni, w których serce moje tak zostało rozdarte obrazami, przez sekundę zaledwie widzianymi, że pozostało na zawsze po nich wspomnienie delikatne, jak rana drażniąca.

Jednego ranka, niedaleko Opery, wśród publiczności tłumnej, wesołej, upojonej słońcem majowem, zobaczyłem jakąś istotę trudną do określenia, staruszkę zgiętą we dwoje, okrytą łachmanami, w czarnym słomianym kapeluszu, od niepamiętnych czasów odartym z wszelkich ozdób, wstążek, kwiatów. Z taką trudnością ciągnęła nogi za sobą, że może więcej od niej odczuwałem boleśnie każde jej stąpnięcie. Podpierała się dwoma kijami. Szła nie widząc nikogo, obojętna na wszystko, na hałas, ludzi, powozy, na słońce! Gdzie szła? Do jakiego nędznego kąta? Niosła coś w papierze. Co? Chleb zapewne. Ponieważ żaden z sąsiadów nie chciał lub nie mógł jej wyręczyć, przedsięwzięła więc sama tę straszną dla niej podróż, ze swego poddasza do piekarza. Potrzebowała na nią dwie najmniej godziny czasu... Co za krzyżowa droga: okropniejsza niż droga Chrystusa na Golgotę!

Spojrzałem na dachy domów olbrzymio wysokich. Szła pod sam strych! Kiedy zajdzie? Ile razy będzie musiała spocząć zadyszana na schodach wąskich, ciemnych i pogiętych.

Wszyscy się za nią oglądali! Niejeden szepnął: „Biedna kobieta!“ i przeszedł. Jej spódnica, raczej strzępy spódnicy, wlokły się po chodniku, zaledwie trzymając się na wychudłem ciele. A w tem ciele czy tliła myśl jaka? Myśl? Nie, ale cierpienie bezgraniczne! Och! czyż możemy sobie wyobrazić nędzę starców bez chleba, bez nadziei, bez grosza, bez niczego, prócz nieuchybnej śmierci? Czy myślimy o łzach płynących z ich przygasłych oczu, które niegdyś były błyszczące, wesołe i pełne życia?

Innym razem polowałem na równinie normandzkiej, w czasie deszczu. Co chwila wyfruwała mi z pod nóg kuropatwa, od czasu do czasu strzeliłem i biedna ptaszyna padała zakrwawiona.

Byłem smutny, smutny jak te chmury lejące deszczem, smutny do głębi serca i tak

żnicy wyznania; 5) udzielanie strawy i ubiorów ubogim uczniom; 6) umieszczanie terminatorów żydowskich u majstrów lub ekonomów; 7) staranie o wykształcenie terminatorów tych w przedmiotach szkolnych i rysunkach; 8) udzielanie stypendyów dzieciom żydowskim, które uczęszczają do szkół przemysłowych lub rękodzielniczych; 9) udzielanie zapomóg i pożyczek bezprocentowych żydowskim rzemieślnikom i rolnikom; 10) zakładanie szkół rękodzielniczych oraz przemysłowych szkół fachowych i wyższych (Fortbildungsschulen) dla młodzieży wszystkich wyznań. Językiem wykładowym w szkołach fundacyjnych będzie polski, w Bukowinie — niemiecki, który jednak i w Galicyi będzie przedmiotem obowiązkowym. W sprawozdaniu swem, złożonem ministeryum spraw wewnętrznych, powiada baron Hirsch: „Jeżeli szkoły, mające powstać przez tę fundacyę, przeważnie przeznaczone są dla ludności żydowskiej Galicyi i Bukowiny i zdawać by się mogło, że chodzi mi o zakładanie wyznaniowych, to winienem zastrzedz z całym naciskiem, że daleki jestem od popierania dążeń do odrębności lub czysto wyznaniowych. Przeciwnie, usiłowałem zawsze zwalczać prądy i tendencye separatyczne wśród moich współwyznawców i wpływać na upodobnienie się ich do współobywateli chrześciańskich.“

Zarządzać ma fundacyą kuratoryum z siedzibą w Wiedniu. Z galicyan zasiądą w niem dr. Arnold Rapaport, doradca prawny Laenderbanku, b radca ministeryalny Gniewosz i Henryk Nirenstein, b. bankier brodzki. Bukowinę reprezentuje poseł Tomaszczuk. Ustrój działalności fundacyi opiera się głównie na komitetach miejscowych, które powołane będą w eLwowie, Krakowie i Czerniowcach, a którym powierzoną będzie władza wykonawcza; niemniej komitety te posiadać będą prawo czynienia wniosków i udzielania rad. Przykre skutki wywołała przedwczesna polemika pism galicyjskich, które ulegając nie tyle wskazanym interesom kraju, ile osobistej ambicyi przywódców, żądały od kuratoryum przeniesienia zarządu centralnego do Lwowa. Nietaktowne artykuły odnośne ktoś usłużny przesłał baronowi Hirschowi w tłomaczeniu francuskiem. Ten, zrażony ich napaściami, o mało tuż przed podaniem statutów nie wykreślił Galicyi z listu nadawczego. Tylko wstawiennictwu rabina wiedeńskiego Jellinka zawdzięcza Galicya, iż możny a drażliwy wielce fundator pozostał przy postanowieniach pierwotnych.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

ZAGADNIENIE CELOWOŚCI.

W roku zeszłym ukazała się praca ks. Morawskiego *Celowość w naturze.* Mimo całej różnicy, przedzielającej nasze zapatrywania od poglądów tego autora, nie możemy nie przyznać, że książka jego stanowi stosunkowo rzadkie zjawisko w piśmiennictwie obozu, którego jest przedstawicielem. Zamiast zwykłych łajań i mądrości scholastycznej, spotykamy tu niejakie próby oparcia dowodzenia na podstawie naukowo-przyrodniczej — czy udatne, mniejsza o to teraz. Praca ta usiłuje rozwiązać dwa następujące pytania: czy przyroda tak wygląda, jak gdyby była urządzona z zamiarem i zmierzała do pewnych celów, oraz czy porządek ten jest istotnie dowodem jej dążności celowych lub też da się wyjaśnić jakimś innym sposobem. Zbyteczna wspominać, że oba zagadnienia zostały rozwiązane twierdząco. Zdaniem p. M., celowość nietylko nie jest hypotezą, lecz stanowi fakt najwidoczniejszy, narzucający się umysłowi ludzkiemu, kiedy ten stawia zaledwie pierwsze kroki w poznawaniu przyrody. Wykazaniu tej „widoczności“ poświęcił ks. M. całe wymienione dziełko. Naturalnie, kosztowało go to nie mało mozołów. Zważmy tylko, że należało przejrzeć najrozmaitsze dziedziny i wynaleźć ślady celowości, jakkolwiek niema tu najmniejszych po temu wskazówek, wygładzić możliwe rozdźwięki w stosunku jednych zjawisk przyrody do drugich i, co więcej, zlać je w współdziałającą jedność, pogodzić wilka z owcą, człowieka z pożerającem go jestestwem drobnowidzowem itd. Autor wynalazł więc przedewszystkiem celowość odnośną — pożytek rzeczy jakiejś dla umożebnienia istnienia innej, oraz wsobną, kiedy układ części jest przystosowany do życia całości. Więc świat mineralny jest niezbędny dlatego, aby rozkwitło życie organiczne, pasorzyty—aby utrzymaną została równowaga w ekonomii przyrody. Nawet miliony globów kosmicznych, wśród których tylko jeden z najmniejszych, ziemski, drga życiem — według ks. M. — istnieją celowo, po to, aby pokazywać człowiekowi wielkość Nieskończonego Rozumu... Zresztą praca jego jest daleką od oryginalności. Autor powtarza poglądy wypowiedziane — już przez Janeta, tego najwybitniejszego rzecznika celowości, już przez innych. I fortele, użyte dla obrony twierdzenia, nie przedstawiają ani kroku naprzód. Uzasadnianie istnienia celowości zapomocą indukcyi, przypisywanie przyszłości, że może wywierać wpływ na przeszłość, przyrównywanie tworów natury do celowo wyrobionych przedmiotów i wywnioskowywanie na tej podstawie, iż musiał istnieć sprawca tego, wszystkie to są środki oddawna znane. Ostatecznym celem wszystkich prób tego rodzaju jest wyjaśnienie wszechświata, pod względem spostrzeganego w nim porządku i wzajemnego ustosunkowania zjawisk, jako wyniku celowej i rozumnej działalności istoty wszechmądrej. Wprawdzie żadna z nich nie odrzuca przyczyn sprawczych, lecz jednocześnie przyjmuje, że one nie wystarczają dla wytłomaczenia owego porządku.

Na rozprawę p. Morawskiego odpowiedział całą książką p. Adam Mahrburg — *Teoryą celowości ze stanowiska naukowego**). Musimy przyznać, że jest to jedna z najpoważniejszych prac filozoficznych, oryginalnie napisanych w okresie ostatnich kilku lat, jakkolwiek posiadamy pewne wątpliwości, czy warto było przeciw doktrynie celowości wymierzać takiego kalibru dzieło. Mniejsza jednak o to. Dla p. Mahrburga cała rozbierana teorya jest poniekąd tworem nieporozumienia. Opierała się ona w całej swej przeszłości, zarówno jak opiera się jeszcze w teraźniejszości na niedostatecznej i powierzchownej analizie psychologicznej i logicznej z jednej strony, na niemniej wadliwej analizie rzekomych objawów celowości w różnych dziedzinach

*) Kraków, 1889.

---

znużony, że z trudnością wyciągałem nogi z rozmiękłej gliny; miałem już wracać do domu, kiedy spostrzegłem jadący przez pola czarny powóz doktora, ciągniony przez karego konia. Cały ekwipaż wyglądał jak przepowiednia śmierci. Powóz zatrzymał się, doktór wysunął głowę i zawołał:

— Eh!

Kiedy się zbliżyłem, zapytał:

— Czy nie chciałbyś mi pomódz przy chorej na dyfteryt. Jestem sam, a trzeba ją trzymać, gdy będę robił operacyę.

— Jadę z tobą doktorze — odpowiedziałem i wsiadłem do powozu.

W ciągu drogi zapoznał mię ze smutnem położeniem nieszczęśliwych.

Błonica, zabijająca błonica dostała się do chaty Martinetów, biednych wyrobników.

W pierwszych dniach tygodnia ojciec z synem umarli, obecnie matka i córka są blizkie śmierci.

Sąsiadka czuwająca przy nich, dostała lekkiego bólu gardła i z przestrachu uciekła zostawiając drzwi od chaty otwarte. Chore, opuszczone od dwudziestu czterech godzin leżały na słomie same jedne, konając w gorączce, a nie było żywej istoty, któraby im podała kroplę wody!

Doktór oczyścił gardło matki i zwilżył spalone usta; ale dziecko przestraszone schowało głowę w słomę i nie pozwoliło się dotknąć do siebie.

— Nie mogę przecież spędzać całych dni u moich chorych, chociaż myśl o tych dwóch ściska mi serce. Dwadzieścia cztery godzin bez napoju! dodaj do tego, że wiatr pędził deszcz aż do ich posłania a zimno zapędziło wszystkie kury w komin.

Stanęliśmy przed chatą, przywiązali konia do jabłoni stojącej przed drzwiami i weszliśmy.

Zatknęła nam oddech silna woń choroby i wilgoci, gorączki, stęchlizny, szpitala i piwnicy. Przejmujące zimno mroziło w tej szarej, ciemnej stancyi bez ognia i życia. Krople deszczu padały przez komin, na którym kury rozgrzebały popiół, a z kąta dolatywał oddech dziecka szybki i chrapliwy.

Matka, wyciągnięta w skrzyni drewnianej, służącej wieśniakom za łóżko, przykryta podartą kołdrą i starymi gałganami, wydawała się spokojną.

— Czy macie świecę? — zapytał doktór.

— Jest w szafce— odpowiedziała słabym i złamanym głosem.

Wziął świecę i poprowadził mię do kąta, gdzie leżała dziewczynka.

Wyglądała strasznie. Policzki wychudłe, oczy błyszczące, włosy rozczochrane; za każdem odetchnięciem robiły się w cienkiej szyjce głębokie doły. W obu dłoniach ściskała okrywające ją łachmany. Jak tylko nas spostrzegła, odwróciła się i schowała twarz w słomę.

Wziąłem ją za ramiona, przytrzymałem siłą, a doktór wyjął jej z gardła białą błonę, która mi się wydała twardą jak skóra.

Odetchnęła lżej i napiła się trochę. Matka wsparta na łokciu patrzyła na nas i wyjąkała:

— Czy już?

— Już.

— A czy znów zostaniemy same?

Głos drżał jej z przerażenia na myśl o tem osamotnieniu, o tem opuszczeniu w chwili zbliżającej się śmierci, którą czuła już blizko siebie.

— Nie, moja poczciwa kobiecino — rzekłem — zostanę, dokąd doktór nie przyszle kogoś do czuwania nad wami.

I zwracając się do doktora, dodałem:

— Przyszlij matkę Manduit. Zapłacę jej.

— Doskonale. Za chwilę tu będzie.

Uścisnął mi dłoń, wyszedł i po chwili usłyszałem turkot odjeżdżającego powozu.

Zostałem sam z dwiema umierającemi. Mój pies Paf położył się drzed zimnym kominem, co mi podsunęło myśl, że ogień przydałby się nam wszystkim. Wyszedłem więc, by poszukać przewa i słomy i wkrótce żywy płomień oświecił całą izdebkę i posłanie dziecka, znowu ciężko oddychającego.

Siadłem i wyciągnąłem nogi ku ogniowi. Deszcz trzepał po szybach, wiatr wstrząsał dachom, a do mych uszu dochodził krótki, ostry, świszczący oddech dwóch chorych i oddech równy mego psa, który się z rozkoszą wyciągał przed ogniem.

I to się nazywa życiem. Te dwie nędzarki, które zawsze spały na słomie, jadły chleb czarny, pracowały nad siły, wycierpiały, co tylko wycierpieć można, konają opuszczone. Ojciec umarł, syn umarł. A jednakże ci ludziska, jakkolwiek prości, uchodzili za uczciwych, kochano ich i szanowano.

byłu — z drugiej, wreszcie na niedość uzasadnionem przenoszeniu spostrzeżeń podmiotowych na świat zewnętrzny, przedmiotowy. Dla wykazania właśnie tego, autor *Teoryi celowości* rozpoczyna od rozbioru takich zasadniczych pojęć, jak przyczyna, a zwłaszcza przyczyna celowa. Zwykle, przynajmniej w wypadkach potocznych, jeden z warunków zjawiska uznajemy za przyczynę, unikając wymieniania całej grupy innych, których stałość jest dobrze znana albo obecność sama przez się zrozumiałą w każdym danym wypadku. W istocie rzeczy, jest to przenoszenie do nauki pospolitego wnioskowania życiowego. Widzimy, że proch wybucha przy zetknięciu z iskrą, przeto tę okoliczność ogłaszamy za przyczynę wybuchu, pomijając inne, niemniej ważne. P. M. uznaje niedostateczność takiego określenia i podaje obszerniejsze, mianowicie, przyczyną pewnego zjawiska jest ogół zmian, w bezpośrednio poprzedzającym je stanie warunków stałych, które to zmiany, o ile nas uczy doświadczenie, są konieczne i dostateczne do powstania tego zjawiska. Cóż teraz nazwać przyczyną celową? Jak wiadomo, rzecznicy celowości, opierając się na istnieniu wyobrażeń celowych w naszem życiu psychicznem, budują całą teoryę. Powołują się oni na to, że te wyobrażenia odwracają zwykły porządek w przyrodzie; zamiast pospolitego przyczynowego trybu rzeczy, w którym zjawiska następne zależą od poprzednich, tu przeciwnie, przyszłe, końcowe, wpływają na uszeregowanie poprzednich tak, aby to przyszłe zjawisko ziściło. Janet woła z tego powodu: „Alboż nie jest to przyznaniem cudu pewnego rodzaju, gdy w mechanicznym łańcuchu zjawisk znajdujemy ogniwo, które naraz ma posiadać moc odwracania niejako porządku tego łańcucha?“ W gruncie jednak rzeczy, wyobrażenie celowe jest zwykłem wyobrażeniem, z tą tylko różnicą, że pierwiastek popędowy został w nim tak dalece rozwiniętym, iż dochodzi do świadomości jako pożądanie urzeczywistnienia samego wyobrażenia. Żywioły, z których ono się składa, nawet jeżeli jest twórczem, tj. nieposiadającem w świecie zewnętrznym żadnego odpowiedniego przedmiotu, zawsze pochodzą z doświadczenia. Wyobrażenie takie jest jednym z warunków przyszłego skutku, ale przyszłość nie jest w nim bynajmniej przedstawioną realnie — istnieją tu tylko symbole możliwych części składowych owego przyszłego zjawiska, o ile zostały poznane w doświadczeniu przeszłem. Niema więc żadnego przerwania łańcucha przyczynowego. Co jednak jest najgłówniejszym wynikiem tego krótkiego rozbioru, to że wszelkie wyobrażenie celowe składa się z pierwiastków, zdobytych z doświadczenia, a tymczasem obrońcy celowości według jego istoty budują własności Najwyższego Rozumu! Podobnie wiele błędów popełnia krytykowana doktryna wskutek niedostatecznego zgłębiania pojęcia „przypadku.“ Jej przedstawiciele straszą przeciwników, iż ci wciąż winni wyprowadzać na scenę „traf ślepy.“ W życiu potocznem przypadkiem nazywamy każde zdarzenie, o którem jesteśmy przekonani, że nie daloby się przewidzieć, a zatem nie mogło być oczekiwanem — wyraz ten oznacza więc w rezultacie jedynie nasz stosunek do danego wypadku. Jest to wprost wypowiedzenie, że czegoś jeszcze nie wiemy, najbardziej dalekie od zaprzeczania przyczynowego związku pomiędzy zjawiskami. Dzieje nauki wykazały, że wiele dawnych „przypadków“ podciągnięto pod stałe prawa. Ostatecznie więc, jeśli obrońcy celowości tryumfują, gdy usłyszą o przypisaniu czegoś „przypadkowi,“ usiłując natychmiast podstawić poden swe czynniki celowe, dowodzą tylko jednego — niezgłębienia odpowiedniego pojęcia.

Niemniej rażące błędy popełnia doktryna celowości w ocenianiu przedmiotów zewnętrznych. Tu ciągle spotykamy się z następującem rozumowaniem. Każda maszyna, której używa człowiek, każe się domyślać, iż została celowo i świadomo przezeń zbudowaną. Lecz i sam człowiek jest tylko swego rodzaju maszyną, podobnież jak i cały wszechświat. Czyż podobna, aby miał powstać drogą przypadku? Podobnie, jak wytłomaczyć, że dwa szeregi zjawisk, niezależnych od siebie, nagle się zbiegają ku jednemu skutkowi? Zbyteczna wdawać się w zbijanie takich zapytań. Natomiast wskażemy na próby wyszukania probierza przedmiotowego dla wyznaczenia zewnętrznej po za podmiotowej celowości. Naturalnie, że poszukujący znajdują go — w złożonej jedności środków, cech itd. Jest to rzecz bardzo zrozumiała. Otóż, świat poznajemy nie sam w sobie, lecz za pośrednictwem własnego rozumu, według właściwych mu modeł. Wiedza nasza o świecie przybiera postać takich symbolów podmiotowych, jak prawa, pojęcia, hypotezy. Cała przedmiotowa treść tych symbolów powstała oczywiście pod wpływem wypadków zewnętrznych i porządku ich powiązania: nie dziw tedy, że, zwracając się następnie do zjawisk przyrody, znajdujemy w nich właśnie porządek i zależności wzajemne, które stanowią treść naszych pojęć, praw, hypotez. Chcieć z tego wysnuwać wniosek o rozumie przyrody, znaczy wpadać w błędne koło bez wyjścia. Nie świat to jest rozumowo i celowo zbudowany, lecz tylko treść, wypełniająca nasz umysł, powstała jako odbicie porządku zewnętrznego. Jako rezultat tego uprzedmiotowywania stanów naszych wewnętrznych — dążeń celowych, pojęć jedności planu, rozumowości i in. w świecie zewnętrznym, rzecznicy celowości w przyrodzie wysnuwają istnienie Rozumu Najwyższego! Czynią zeń jedynie wyższą potęgę ludzkiego. W ten sposób stają na gruncie z jednej strony mocno antropomorficznym (człekokształtnym), z drugiej wikłają się w mnóstwie sprzeczności. Rozejrzyjmy się nieco. Cechą rozumu ludzkiego jest to, że całą swoją wiedzę o świecie zewnętrznym musi zdobywać z doświadczenia; widzieliśmy pierwiastki doświadczalne nawet w twórczem wyobrażeniu celowem. Wypadałoby więc Rozumowi Najwyższemu albo przyznać podobną własność, albo wyrzec się wszelkich upodobnień, bez których nie może się obejść teorya celowości.

Streściliśmy, o ile można było, główne zarysy dzieła p. Mahrburga. Jego zdaniem, cała doktryna celowości jest tylko jednem wielkiem nieporozumieniem metafizycznem, które wynikło wskutek wadliwej i niedostatecznej analizy stanów i pojęć podmiotowych, takich, jak pojęcia przyczyny, przypadku, wyobrażenia celowego, już dzięki uprzedmiotowywaniu pojęć oderwanych w świecie zewnętrznym i przyznawaniu im realnego bytu, jak kategoryom zgody, jedności, już wreszcie w następstwie polegania jedynie na wewnętrznej „logice“ i uznawania w niej dostatecznej rękojmi. Antropomorfizm odegrał tu ogromną rolę — on to stworzył całą doktrynę celowości.

Patrzałem na parujące buty, na śpiącego psa i nagle doznałem nizkiej, bezwstydnej radości, porównywając mój los z losem tych skazańców!

Dziewczynka zaczęła chrapać i dławić się, a każde jej zakrztuszenie się przeszywało mi serce, niby ostrze sztyletu.

Zbliżyłem się do niej.

— Czy chcesz pić? — spytałem.

Poruszyła głową twierdząco; wlałem jej w usta cokolwiek wody, której już przełknąć nie mogła.

Matka, spokojniejsza nieco, odwróciła się, patrząc na dziecko, a mnie opanowała jakaś dziwna, niepojęta bojaźń, jakby przy zetknięciu się z niewidzialnym potworem. Gdzie jestem? Czy śnię? Czy zmora mię dławi? Czy się mogą dziać podobne rzeczy? Czy się podobnie umiera?

I wpatrywałem się w ciemny kąt izby, jak gdybym się tam spodziewał ujrzeć jakąś postać ohydną, przerażającą, która czycha na życie ludzkie i podkopuje je, niszczy, dławi, zabija, lubuje się w krwi czerwonej, oczach błyszczących gorączką, w zmarszczkach, zniszczeniu i rozkładzie.

Ogień przygasał, dorzuciłem drzewa i odwróciłem się, aby ogrzać zlodowaciałe plecy.

Ja przynajmniej spodziewałem się umrzeć na wygodnem łóżku, w obszernym pokoju, otoczony doktorami i mając przy sobie na stoliku szereg flaszek aptecznych.

A te kobiety całą dobę konały na słomie w nieogrzanej izbie!

Posłyszałem turkot wozu. Weszła posługaczka spokojna, zadowolona, że znalazła zarobek i wcale nie zdziwiona niedolą, jaką zastała.

Zostawiłem jej cokolwiek pieniędzy i uciekłem z psem; uciekałem jak złoczyńca; biegłem do mego ogrzanego mieszkania, gdzie mnie czekała służba z dobrym obiadem; ścigało mnie jednak bezustanku chrapanie dwóch konających istot.

Nie zapomnę nigdy doznanych wtedy wzruszeń i tylu innych rzeczy, które mi obmierziły ziemię.

Czasem pragnąłbym nie myśleć, nie czuć, żyć w stanie pierwotnym, w kraju słonecznym i ciepłym, na wschodzie, gdzie się zasypia bez strapienia, budzi bez smutku, żyje bez troski, kocha bez niepokoju i prawie się nie wie o swojem istnieniu.

Zajmowałbym mieszkanie obszerne, pełne powietrza i promieni słonecznych.

Z tarasu widok na morze, po którem ślizgałyby się statki greckie i tureckie, z białymi żaglami w kształcie ostro ściętych skrzydeł. Mury zewnętrzne prawie pozbawione bram i furtek. Wielki ogród palmowy stanowiłby środek tego wschodniego mieszkania. Wśród cienia drzew wodotrysk strzelałby aż do ich wierzchołków, a następnie kroplistym, tęczowym obłokiem spadał do basenu marmurowego, wysypanego piaskiem złotym. Kąpałbym się w nim co chwila między jedną a drugą fajką, między marzeniem a uściskiem.

Miałbym niewolników czarnych i pięknych, ubranych w lekkie materye i biegających boso po miękkich kobiercach.

Wkoło każdego pokoju, na kobiercu, poduszki najrozmaitszych kształtów, nęciłyby mię do snu. A kiedy już znużony rozkosznym spoczynkiem, przesycony spokojem nienaruszonym, zapragnąłbym ruchu, wtedy kazałbym sobie przyprowadzić białego lub czarnego konia, lotnego jak gazela.

Mknąłbym na nim jak strzała w stronę widnokręgu zróżowionego słońcem zachodzącem i czerwieniącem wszystko: góry, piasek, odzież arabów, dromadery, konie, namioty.

Nie widziałbym, ogłuszony turkotem dorożek, ludzi ubranych czarno, siedzących na niewygodnych stołkach, pijących wódkę i rozmawiających o interesach.

Nie wiedziałbym o kursach giełdy, o wypadkach politycznych, o zmianach ministeryalnych i o tysiącu bezpożytecznych niedorzeczności, które nam pochłaniają nasze krótkie życie. Po co te troski, te cierpienia, te walki?

Marzenie skrzydlate nikło powoli, a miejsce jego, jako pokuta za noc bezsenną, zastąpiła migrena, która męczy, ogłupia, odbiera pamięć, wolę i na którą niema lekarstwa. Przez dziesięć godzin musiałem znosić te tortury, potem zasnąłem i nazajutrz rzeźwiejszy niż kiedykolwiek, udałem się do Saint-Raphaël.

(D. n.)

Jakkolwiek w rozbijaniu przez p. M. mrzonek rzeczników celowości, na przestrzeni blizko 200 stronic, niewiele znaleźliśmy zdań, którym mielibyśmy cokolwiek do zarzucenia, jednakże inaczej nieco rzeczy stoją z układem całości. Czytelnik, być może, zauważył pewną niełączność w powyższem przedstawieniu wywodów. Wada ta naszego artykułu byłaby wtedy niejako odbiciem podobnego braku w pracy p. M. Każdy oddzielny ustęp stanowi tu dobrze zaokrągloną całość, która zarysowywa się w umyśle jasno i potoczyście. Niepodobna jednak tego powiedzieć o ogóle. Przeczytaliśmy *Teoryę celowości* raz jeden, czyniąc odpowiednie notatki; później przejrzeliśmy ją powtórnie. I mimo wszystkiego, powiązanie oddzielnych ustępów, nawet przy pomocy spisu rozdziałów, nie wystąpiło jasno i wyraźnie w naszym umyśle. Być może, wynika to stąd, iż autor nadał pracy swojej zanadto polemiczny charakter. Mając na oku oddzielne zdania i poglądy przeciwników, tem samem wycisnął odpowiednio rozrzucone piętno na swojej rozprawie. Zresztą, zacięcie polemiczne wywołało i drugą niedogodność. Niedarmo bowiem mówi przysłowie, że z kim przestajesz, takim sam się stajesz. P. M., wziąwszy się w sposób polemiczny do roztrząsania szmat scholastycznych, w które tak obfitują nawet najbardziej naukowe rozprawy rzeczników celowości, poniekąd nadał, mimo wszelkiego oporu, podobnie suchą postać i własnym wywodom. Jestto koniecznem następstwem polemicznego charakteru książki. Cokolwiekbądź jednak, *Teorya celowości* należy do ciekawszych płodów naszej myśli filozoficznej. Wprawdzie można dojrzeć w niektórych ustępach jakąś, powiedziałbym celową powściągliwość w rozpatrywaniu niektórych punktów, lecz że nie koniecznie odpowiada ona umysłowości autora, można zauważyć o kilka stronic dalej, gdzie trzymane na wodzy poglądy jakby żywiołowo zrywają się i dochodzą do słowa. Na zakończenie zauważymy, iż w naszem sprawozdaniu z wywodów p. M. pozostał się jedynie szkielet, pozbawiony najbardziej drgającego życiem mięsa. Dość powiedzieć, iż najwymowniejsze i najbardziej pociągające ustępy, chociażby ten, w którym rozpatruje język teleologiczny ewolucyonizmu, pozostały bez najmniejszej wzmianki.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Historya i historycy. Niejaki p. L. Bourdeau wydał niedawno książkę, *L'histoire et les historiens*, rozpatrującą roszczenia historyi do przedstawicielstwa nauki ścisłej. Sąd wypadł bardzo niekorzystnie i niezaszczytnie. Zdaniem pisarza francuskiego, niema nic niestosowniejszego, niż widzenie w historyi — nauki, gdyż wszystkie jej prace nie mają nic wspólnego z tą ostatnią. Historya to tylko opowiadania o zdarzeniach ubiegłych, uważanych za ważniejsze i pierwszorzędne. Lecz któż sądzi i wyrokuje o znaczeniu oddzielnych faktów i zdarzeń „historycznych"? Skali jakiejś przedmiotowej, niezależnej od upodobań jednostkowych pisarza, lub przesądów masowych, niepodobna tu odszukać w żaden sposób. Każde zdarzenie jest tylko zdarzeniem — nic nadto. Dopiero historyk przystępuje do określenia w nich rzekomej wagi — jedne zalicza do „historycznych," inne do „pospolitych," niewchodzących w zakres dziejów. Zbyteczna dodawać, iż dowolność i subjektywność odgrywają jaknajwiększą rolę w tem postępowaniu. Nie dość tego. Fakty i zdarzenia historyczne zwykle ukazują się jako wynik całego splotu okoliczności pospolitych, o których ta nauka nic nie chce wiedzieć. Czyż wobec tego można mówić o przyczynowem powiązaniu wypadków? Jesteśmy pozbawieni możliwości dokładnego poznania zdarzeń, odbywających się w naszych czasach i mamy mimo to wyrokować z dokładnością często o bardzo dalekiej przeszłości? Słowem, w historyi niepodobna i niewolno widzieć nauki ścisłej — raczej jest to sztuka, i powodzenie w niej zależy nie od właściwości naukowych pracy, ale od znamion artystycznych, mianowicie siły odmalowania zdarzeń, tj. od wyobraźni autora. Muza historyczna jest kłamliwą, na każdym kroku wprowadza nas w błąd swojemi zmyśleniami, fałszywem przedstawieniem czynów, nieścisłem oznaczeniem stosunku pomiędzy wypadkami. Dzieje powszechne — to tylko inny płód wyobraźni, mniej ścisły, bo mniej plastyczny i wyrzeźbiony, aniżeli jakaś *Iliada* lub *Odyssea*. Dziecko wymaga i pożąda klechd i bajek: dorośli po to samo zwracają się do historyi. Ta i tamte są tworem wyobraźni, podobnie jak i wszelkie poematy epiczne, z tą jedynie różnicą, że ostatnie wyraźniej i ściślej malują epokę...

Jakaż przyszłość historyi? Oto prędzej czy później wykazaną będzie rzetelna jej wartość: nudnego, mało ścisłego i nader powierzchownego płodu fantazyi. Jej miejsce zajmie inna nauka — statystyka, wiążąca w jeden zwarty system cyfr kolejne i jednoczesne zjawiska życia społecznego. „Historycy przyszłości staną wobec jednego najgłówniejszego zadania: zebrania i wyjaśnienia faktów statystycznych co do przebiegu życia publicznego. Działalność umysłu ludzkiego wypowiada się zapomocą czynów i jedynym środkiem dla dokładnego zdania sobie z nich sprawy jest zapisywanie natychmiastowe w chwili wyjawu, pomieszczanie w odpowiedniej już z góry urządzonej rubryce, powiązanie z okolicznościami czasu, miejsca i ludności, oznaczenie zachodzących zmian i wyciągnięcie z tego całokształtu możliwych wniosków. Tylko wtedy dowiemy się, co czyniły i czynią te masy bezimienne, z których składa się ludzkość." Tablice śmierci i wzrostu ludności, sprawozdania handlowe i przemysłowe, cyfry ruchu umysłowego itd. itd., oto jedynie wiarogodne materyały dziejowe, przynajmniej w porównaniu z materyałem, z którego czerpią tegocześni historycy przy przedstawianiu jakiejś epoki. Zamiast epicznego opowiadania o wydatnych osobnikach, pojedynczych zdarzeniach lub jakichś wybranych miejscowościach, nauka ta winna zająć się zobrazowaniem statystycznego życia mas zarówno dla naszych europejskich społeczeństw, jak i innych, w których dopiero rozwijają się zarodki cywilizacyi: Kanady, N. Zelandyi itd. Taka reforma historyi coraz bardziej wykazuje swą niezbędność — prędzej lub później zostanie też uskuteczniona przez historyków, lub po za ich obrębem i wbrew ich woli. Okres historyografii literackiej dobiega kresu; nastaje inny — historyi naukowej."

Pracownia psychologiczna w Lipsku. Znany psycholog Wundt, po za pracami teoretycznemi, rozwija jeszcze bardziej pożyteczną działalność praktyczną. Z jego imieniem wiąże się powstanie pracowni psychologicznych, podobnie jak istnieją już różne stacye biologiczne, laboratorya fizyczne i chemiczne itd. Mianowicie w 1879 r. uzyskał u władz uniwersyteckich w Lipsku mieszkanie z kilku pokojów na urządzenie doświadczalni psychologicznej, wraz z pewną kwotą pieniężną dla zakupna niezbędnych przyrządów i przedmiotów. Obecnie mieszkanie już się zwiększyło. Liczba słuchaczów w ostatniem półroczu, z którego posiadamy sprawozdanie, wynosiła 19 osób; najwięcej uczęszczało amerykanów i rosyan. Przy odbywaniu badań i doświadczeń wprowadzono zwyczaj pracowania grupami po dwóch, co zresztą jest koniecznem z samej istoty zjawisk psychicznych; jeden występuje wprost jako bierne narzędzie, nad którem czyni się doświadczenia, drugi zaś je prowadzi, zapisuje spostrzeżenia i odpowiada za ścisłość rezultatów. W ten sposób Wundt nietylko posunął dalej zdobycze w dziedzinie psychicznej, rozpoczęte przez cały poczet fizyologów-psychologów, jak Weber, Fechner, Helmholz, lecz nadto ześrodkował dokoła siebie wysiłki, dążące do utrwalenia i wyznaczenia metod doświadczalnych w dziedzinie zjawisk duchowych. Wyniki badań, czynionych w pracowni lipskiej, są ogłaszane w własnem czasopiśmie: *Filozoficznych studyach* (*Philosophische Studien*). Główną uwagę zwracano na niektóre zwłaszcza zagadnienia. Przedewszystkiem dużo starań użyto dla ściślejszego wyznaczenia znanego prawa Webera o stosunku pomiędzy podrażnieniem a wrażeniem. Jak wiadomo, pierwszy Weber uczynił spostrzeżenie, iż aby odczuć zwiększenie ciężaru na ręce, należy go powiększyć o jedną trzecią. W lipskiej pracowni zwrócono badania właśnie w kierunku wyznaczenia podobnego stosunku pomiędzy podrażnieniem a wrażeniem co do światła i dźwięku. Zwłaszcza dla wymierzenia podrażnień dźwiękowych trzeba było zużyć wiele czasu, gdyż przedewszystkiem wypadało znaleźć odpowiednią skalę przedmiotową. Nie będziemy rozszerzali się nad tem, jak to zrobiono; zauważymy tylko, iż natężenie dźwięku winno zwiększyć się o $^1/_3$, aby zostało dostrzeżonem. Natomiast zdolności odróżniania zmiany tonów są daleko delikatniejsze — ucho chwyta powiększenie ilości drgań na sekundę, wynoszące $^1/_4$ lub $^1/_5$ pierwotnej. W dziedzinie światła zwiększenie jego o $^1/_{100}$ dla słabego i o $^1/_{120}$ dla średniego napięcia zostaje już zauważonem. Powyższe badania należą jeszcze do sfery psycho-fizyki, lecz niemniej ciekawe czyniono doświadczenia w kierunku psychometryi. Szło o wymierzenie, ile czasu wymagają różne zjawiska: przypominania, chcenia itd. — kwestya pierwszorzędnej wagi dla psychologii. Bogactwo i rozmaitość naszego życia zależą od ilości przebytych stanów duchowych. Jeżelibyśmy w tym samym czasie przedmiotowym przeżyli dwa razy więcej wrażeń, myśli, uczuć itd., śmiało moglibyśmy powiedzieć, iż żyliśmy dwa razy dłużej. Zachodzi teraz pytanie, czy, w miarę rozwoju, ustrój mózgu naszego nie doskonali się czasami w ten sposób, iż czyni różne stany duchowe krótszymi bez zmniejszenia ich natężenia i wyrazistości? Streściliśmy tylko zadanie i jego znaczenie, w zdobyte wyniki nie będziemy się zapuszczali, ani w kreślenie metod samego badania.

Pracownia jest prowadzona troskliwie. Wundt bywa w niej codziennie, udziela wskazówek, kieruje zajęciami. Lecz przedewszystkiem chodzi mu o jedno — o wyrobienie wśród pracujących jaknajwiększego ducha niezależności, tak, iżby z nich wyszli najzupełniej samoistni badacze. Zbyteczna dodawać, iż powstanie pracowni lipskiej stanowi istotną erę w dziedzinie psychologii — z jej założeniem wkraczała ta nauka na pole systematycznych badań doświadczalnych i odpowiednio systematycznego wykształcenia przygotowawczego. Nie dziw, iż zrozumiano cały pożytek z takich laboratoryów, w których metafizyczną „duszę" poddanoby wszystkim próbom i badaniom, przez jakie w salach anatomicznych przechodzi „ciało." Za przykładem Lipska powstały lub mają powstać podobne doświadczalnie w Berlinie, Bonn, Getyndze, przy czterech uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, Danii i Anglii.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kajetan Koźmian: *Poezye prozą* wydane przez St. Koźmiana. Kraków, 1888. Str, 420.

Opatrzone wstępem wnuka, żyjącego dziś St. Koźmiana, ukazują się na widok publiczny po raz pierwszy niewydane dotąd pisma prozą Kajetana Koźmiana. Jako spuścizna niemal ostatnich lat życia i działalności tego pisarza, utwory, wydaniem niniejszem objęte, lubo powiększają spis bibliograficzny dzieł jego, w małej tylko części uchodzić mogą za przyczynek krytyczny do określenia stanowiska tej współcześnie wybitnej, dziś nie bez słuszności może zapomnianej postaci zagorzałego bojownika w dziedzinie zarówno politycznego, jak i umysłowego życia swej epoki. Jest Kajetan Koźmian żywym w literaturze naszej przykładem, jak popularność, sztucznie przy sprzyjających okolicznościach wyszrubowana, w przebiegu dziejowym niknie ze szczętem. Chorąży obalonego sztandaru wraz z upadkiem jego podzielił los pokonanych i uległ zapomnieniu. Któż dziś czyta jego niegdyś tyle sławione *Ziemiaństwo*, *Stefana Czarnieckiego* lub owe rozgłośne wycieczki przeciw romantykom? A przecież był Koźmian współcześnie jednym z naczelników obozu, który tak długo gromy potępienia rzucał na nowy poezyi naszej kierunek, grot swój wymierzając w pierś największego poezyi słowiańskiej gieniusza. Zapomnienie, jakiemu uległ, było naturalnem następstwem i najsłuszniejszą karą za nieuznanie olbrzyma. Nie mógł być bowiem miłym społeczeństwu ten, który kruszył kopie i rozpaczliwe staczał boje z największym w literaturze naszej tryumfatorem. Wspomnienia zawziętej, przesadnej i zaślepionej walki ze zwycięzkim romantyzmem i wznoszącym się po nad wszystkimi i wszystkiem Mickiewiczem zbyt zaciążyły na Koźmianie, aby nie miały wpłynąć na ocenę własnych dzieł jego i nie rzuciły pewnego cienia śmieszności na jego osobę.

Gdyby tylko głęboko wkorzenione przekonania literackie były jedynym powodem jego uporczywych zapasów, możeby ogół inaczej ocenił działalność bojownika, padającego w imię idei na wyłomie. U Koźmiana jednak wchodziły w grę i inne czynniki. Z całej jego płodnej działalności, jako męża stanu, polityka i urzędnika, okazuje się, że dziedzina literatury była dlań tylko rozszerzoną areną propagandy z góry wytkniętego kierunku politycznego. Czy kierunek ów był, jak utrzymują pp. St. Koźmian i Dębicki, tym samym, jaki przyjęło dzisiejsze stronnictwo zachowawców krakowskich, czy może nieco odmiennym, co prędzej przypuścić można, sprzeczać się nie pora; w każdym razie szczegół ten na stanowisko Koźmiana w owym głośnym sporze literackim decydujące rzuca światło i usprawiedliwia, bądź co bądź, sąd historyi literatury.

W obszernej przedmowie do książki niniejszej kreśli p. St. Koźmian sylwetkę przodka swego, a to daje mu sposobność pożądaną rozwinąć niektóre poglądy stronnictwa, którego dziś sam jest filarem. Ze szczególnym tedy naciskiem podnosi w niej działalność starego Koźmiana, uważając go za przodka dzisiejszego obozu zachowawczego. Rzecz naturalna, że w świetle poglądów wnuka postać dziada potężnieje do rozmiarów pierwszorzędnej wielkości. Zapałem unesiony komentator czyni go przedstawicielem publicznego i umysłowego życia we współczesnej epoce, typem polskiego konserwatysty, wzorem odwagi cywilnej, przykładem służby dla kraju, poczytując mu za największą zasługę, że w działaniach swych powodował się nie uczuciem, lecz rozumem stanu. Do czego ten rozum stanu doprowadził dzisiejsze stronnictwo stańczykowskie, jakie wydał plony w polityce i jakie przyniósł krajowi korzyści, mamy aż nadto wyraźny przykład w stosunkach galicyjskich, gdzie stronnictwo owo stoi u steru. Nie ulega jednak wątpliwości, że wobec jego dzisiejszego programu dziad w niejednym punkcie wyparłby się swego wnuka i z chęcią zrzekł zaszczytnego miana twórcy i ojca spaczonego potwornie kierunku, który mu pokolenie epigonów na barki usiłuje włożyć. „Jeżeli Koźmian nie był natchnionym poetą, to był natchnionym politykiem“ — twierdzi w dalszym ciągu wstępu swego p. St. Koźmian. Nie wiemy, jaka ilość czynników wystarcza p. Koźmianowi do tworzenia natchnionych polityków, ale to pewna, że gdyby tak było w istocie, zarówno w historyi, jak i literaturze Kajetan Koźmian nierównie wybitniejsze zająłby stanowisko, niż to, które mu przypadło w udziale. Dzisiejsze stronnictwo stańczykowskie rade doszukuje się pewnych śladów pokrewnego sztandaru politycznego w minionej dziejów epoce, aby módz powołać się na ciągłość historyczną i nieprzerwalność idei, przez siebie wyznawanej. Z całym przeto zapałem wkłada swój wieniec zasługi na skronie jednego z przodków dzisiejszego przedstawiciela swej polityki, zapominając, że konserwatyzm Kajetana Koźmiana i jego poglądy w owej epoce przed laty 50, w odmiennych zupełnie warunkach wytworzone, miały może racyę bytu, podczas gdy polityczny program dzisiejszego stronnictwa i jego działalność jest tylko katechizmem możnej sekty, która pod płaszczykiem sprawy publicznej przedewszystkiem interesy własne i osobiste korzyści ma na widoku.

I w tym właśnie względzie *Pisma prozą* mogą być świadectwem, o ile różnym jest konserwatyzm Kajetana Koźmiana od dzisiejszego krakowskiego. Podobnie jak w *Pamiętnikach*, których są poniekąd uzupełnieniem, przebija się w nich stanowczość zdania, posunięta do pewnej apodyktyczności i ów tyle za zasługę mu poczytywany rozum stanu i zmysł krytyczny.

Podzielony na pięć działów materyał obejmuje życiorysy, mowy polityczne, odezwy i pomniejsze rozprawy. Mieszczą się tu sylwetki Adama Czartoryskiego, St. Małachowskiego, Jana Tarnowskiego i Aleksandra Batowskiego, po nich następują mowy, wygłoszone na pogrzebach jenerała Mokronowskiego i Marcina Badeniego mowa na uczczenie pamięci Nagurczewskiego, w Tow. przyjaciół nauk, dalej rozprawy treści politycznej i odezwy, pisane przez Koźmiana jako sekretarza imieniem konfederacyi i marszałka sejmu, fragment „Kilka słów o Lelewelu,“ rozprawy literackie „O śpiewach Niemcewicza, „O przekładach Horacego,“ wreszcie recenzye teatralne.

Do skarbca myśli narodowej spuścizna ta nie przynosi nic nowego, nie zmienia nawet w niczem sądu o działalności literackiej i politycznej autora, może być jednak uważaną za pożądany przyczynek i źródło do ocenienia spraw i poglądów społeczeństwa w epoce, w której Koźmian działał. Wybitnie i jaskrawo występujący w niej katechizm konserwatywny tego publicysty pozwala dokładnie poznać i ocenić jego stanowisko polityczne i poglądy. Zaprzeczyć niepodobna, że w rzędzie współczesnych wykształceniem niewielu Koźmianowi dorównać mogło. W przytoczonych wyżej pracach i artykułach spotkać można nierzadko zdania nader głębokie i trafne, spostrzeżenia oryginalne i świadczące o wielkiej bystrości umysłu. Niemniej faktem jest jednak, że góruje w nich wszędzie duch i pojęcia klasyczne, stosowane nie zawsze odpowiednio do potrzeb i obowiązków nowoczesnych, a tem samem ostry stanowiące kontrast z dążeniami współczesnej epoki oświeconej brzaskiem romantyzmu i biegnących za nim pojęć. Znajdują się jednak w tej spuściznie ślady, że zimny klasyk umiał się także roznamiętniać, gdy chodziło mu o silne zaznaczenie swych teoryj na żywym przykładzie. Tym duchem napiętnowaną jest rozprawa „Kilka słów o Lelewelu,“ napisana z iście młodzieńczą siłą i werwą, a skierowana przeciw Lelewelowi jako przywódcy demokracyi i zwolennikowi zasad jakobińskich. Nie szczędzi tu zimny mąż stanu czarnych barw na odmalowanie wstrętnej fizycznie powierzchowności suchego badacza, który umiał roznamiętniać tłumy i z gwałtownym wyrzutem zwraca się do tych, którzy nie umieli założyć wędzidła jego robotom i dali się popychać po przepaścistej drodze. Tak namiętny i stronniczy sąd o jednej ze współcześnie najzasłużeńszych i bezsprzecznie najwybitniejszych postaci świadczy o wielkiej namiętności i odrazie piszącego. Dla sławy Koźmiana dobrze się stało, że rzecz ta spoczęła w rękopisie i że dziś dopiero trzeźwemu i spokojnemu sądowi potomności przypadnie wydać zdanie o jej autorze.

Dopełnia spuścizny kilka rozpraw literackich. Nasiąknięte są one, jak wogóle wszystko, co wyszło z pod pióra Koźmiana, teoryami klasycznemi. Niemcewicz, jak wiadomo, trzymał się wpośrodku walki klasyków z romantykami, mimo że większość jego utworów nosiła znamiona dawnego kierunku. Nie przeszkadza to jednak Koźmianowi w „Raporcie o śpiewach historycznych,“ oceniającym wartość i wpływ tych utworów, ostro wytknąć współczesnemu Nestorowi pisarzy polskich wszystkich uchybień, które raziły wybredny jego smak klasyczny. Rozprawa „o przekładach Horacego,“ oraz kilka sprawozdań z przedstawień teatru polskiego za kierownictwa Kudlicza i Jasińskiego, dopełniają treści książki, która w literaturze naszej — jak rzekliśmy — może mieć tylko znaczenie uzupełniającego pamiętnika, będącego przyczynkiem do charakterystyki epoki i autora jako polityka i publicysty.

W. P.

Z NIEMIEC.

Monachium, w grudniu.

Wilhelm II i sztuka.—Przewletrzanie państwa muz.—Policya berlińska w roli artystów. — Cenzura teatralna nad Spreą. — Zdjęcie maski autorowi. — Echo z Poznańskiego.

Czego sztuka niemiecka spodziewać się może po cesarzu Wilhelmie II?

Nie było ostatnimi czasy w Niemczech książki, którejby czytanie taką sprawiało rozkosz, od którejby wiała taka świeżość. Nie zbyt gruba ona, ale skrzydlata, jak dobry duch i sztukę bierze tylko za pozór, pod którym przelatuje kolejno wszystkie prawie dziedziny życia duchowego Niemiec, jednakowo o ich los stroskana i trwożna.

Jej ideę przewodnią w kilku streścić można słowach: duszno i ciemno jest w państwie piękna i literatury, trzeba na gwałt pootwierać lufciki. Zgnilizna w formie najrozmaitszych miazmatów szerzy się oddawna, ale dziś z okazyi zmiany tronu warto spróbować, czyby „znak z góry,“ który nad Spreą stanowi o wszystkiem, nie zechciał odegrać zaszczytnej roli wentylatora.

Wypada nadmienić, że pijąc do silnych tego świata, autor ma na myśli samo społeczeństwo niemieckie. Jako wierny poddany, bije pokłon monarsze i jego o reformę prosi, ale właściwie o nie nie prosi, tylko zwyczajnie i bezceremonialnie narodowi swemu — wymyśla. Snać nagro-

madziło się w sercu dużo goryczy, złości i żalu, więc je teraz wylewa. Takim adresem opatrzona, i w takim tonie trzymana odezwa czasem, niestety, prędzej trafia do celu.

Jednak duży szereg żądań stosuje się i bezpośrednio do sfer wpływowych.

Wymagamy, tak mniej więcej opiewa anonym, ażeby te same przywileje i wyróżnienia, jakiemi cieszą się przedstawiciele innych zawodów, dosięgały i adeptów sztuki. Nie chodzi o to, ażeby dramaturg, który stworzył coś nieśmiertelnego, otrzymał gwiazdę czerwonego orła, ażeby nudny, ale u dworu lubiany malarz dostawał tytuły „profesora“ lub „radcy tajnego“ i był wnet stawiany na równi z Rafaelem; ale chodzi o społeczną równość i sprawiedliwą ocenę, o to, ażeby sztuka i na zewnątrz miała tę godność i znaczenie, jakie wewnętrznie posiada zdawna.

Państwu nie może być obojętnem, gdzie jego obywatele spędzają wieczory, nie powinno cierpieć, ażeby ich umysły dziczały w sprośnych teatrach pantominowych, bezczelnych tingltanglach z przegryzionemi jadem choroby artystkami, skoro mogą uszlachetniać się na poważnych, silnych i do czystszego pojęcia bytu wiodących widowiskach i dramatach.

Ten bowiem nierząd, szalejący w berlińskich lupanarach, przystrojonych w teatralne draperye, jaki toleruje policya, sprowadza zamęt w wyobrażenia cnoty i moralności i nawet najbardziej oporny i hartowny naród pogrąża w obyczajowym materyalizmie.

Bezimienny oponent nie jest bynajmniej zbłąknionym przez sztywny, bezkrwisty idealizm klasykiem. Dla niego sztuka nie jest ani nieprzystępną, z nieba na ziemię zstępującą istotą nadludzkiego rodzaju, ale też nie jest podkasaną zlekka subretką, która między kolacyą a porą nocnego spoczynku „spełnia swoje ciche, pomocne trawieniu rzemiosło.“ Sztuka jest ludzka, ziemska, jej kolebką — mózg człowieka, a sama ona nieoddzielna cząstka naszego jestestwa. Jej narodziny nie były ani łaską, ani cudem, ale koniecznością ludzkiego ustroju życiowego, a jej celem nie rozrywka w nudach, ani wznoszenie nas po nad rzeczywistość, ani spychanie pod poziom prawdy, lecz postęp bytu społecznego ku coraz wyższym formom, wydelikacenie ludzkich myśli i uczuć. „Powinna ona iść ręka w rękę z dążeniem do zbadania najwyższych prawd, z doskonaleniem techniki, nie w znaczeniu teoretycznych rozpraw i praktycznych ćwiczeń, lecz tworów fantazyi.“

Musimy walczyć, piąć się i szperać, posłuszni niepokonanej pra-sile, która nas porywa za sobą, albowiem jak wszystko inne, tak i my podlegamy prawu ruchu. Tylko na takiej podstawie filozoficznej i jej realnych wynikach można ugruntować wielką, zdrową i współczesną sztukę. Mikroskop, dynamit, nitrogliceryna, prawo zachowania energii, żelazne prawo pracy robotniczej, odczytywanie klinowych napisów — wszystko to i dla piękna geniusz ludzki zdobył.

Czyż to nie prawda? Nietylko niemcy, ale świat cały wciąż jeszcze babrze się w motywach starych, zwietrzałych, albo tysiąc razy przerabianych i wyzyskanych, albo zgoła dla nas niepojętych. Gdy spytać kogo, wróżącego za Renanem upadek sztuce, dlaczego zwyczajem inwalidów wychwala czasy minione a nie ufa teraźniejszości, wykręca się sianem, albo głupią formułką. „Mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą,“ że dokoła huczy i wre walka, nowa, powszechna, przodkom naszym nieznana, a zdolna zapłodnić Szekspirów i Dantów. Prawdziwie natchnione pióro z najświeższych, nieostygłych jeszcze faktów historyi, z rozkołysanych wczorajszym orkanem fal życia społecznego, z nieopłakanych jeszcze zawodów i klęsk człowieka, z nieprzebrzmiałego jeszcze okrzyku szczęścia zdoła ułożyć dramat, symfonię, które miliony systemów mrówczych wprawić mogą w elektryczne drżenie i miliony piersi rozeprą szerokim oddechem...

Uf!.. jak wysoko wlazłem... Teraz mi trudno zejść na równinę, po której już spokojniej przechadza się nasz autor.

A przechadza się on po ulicach, placach, bulwarach i skwerach Berlina i ze zgrozą widzi, że wyolbrzymiała stolica prusaków (mówimy tu niedwuznacznie), mimo swe wielkie pretensye, dotąd nie potrafiła przyozdobić się, jak przystoi cesarskiej rezydencyi i miastu z milionem ludności. Rząd w sprawach budownictwa lekceważy sobie całkiem zdanie wykształconych fachowo architektów i wznoszenie okazałych gmachów, które powinnyby uzmysławiać cywilizacyjną potęgę państwa i być istotnymi przybytkami, powierza je fuszerom mającym protekcye lub gromkie tytuły. I oto mnóstwo budowli wygląda jałowo, zimno, razi brakiem smaku i stylu, lub cierpko małpuje wzory dawniejsze. Czasem tylko jakieś trzecie lub czwarte piętro ma trochę barokka i tak odbija od piętr dolnych, jak gdyby je wzięto skądinąd i wraz z dachem doszrubowano.

Policya berlińska — nader sympatyczni ludzie— przy torowaniu nowych ulic i projektowaniu nowych gmachów *ganz einfach* kreśliła architektom wszelkie stylowe ozdoby, wieżyce, balkony, grupy itp.; ocalały jeno straszliwie czcze, trzeźwe i pełne prozy fasady — istne widma jednostajności. To też bezimienny nie szczędzi jej błogosławieństw i „używa“ na niej do syta.

Wogóle żąda on, ażeby rachowano się ściślej z duchem czasu, ażeby pracowano nad stylem narodowym i zarazem utylitarnym. Jeśli ma być gotyk, niech będzie, ale, przystosowany do nowych potrzeb. Dotąd w urzędach np. przy wielkiem stylowem krzykactwie, pracujący duszą się w ciasnych i nizkich pokojach.

Że tak bywa, przekonałeś się pewnie czytelniku nieraz. W Wiedniu ratusz nowy kosztował podobno osiem, czy też dwanaście milionów florenów. Prasa w niebogłosy wrzeszczała na zbytek i swawolę, aż jej musiano złotą kłódką „stulić gębę,“ i cóż w końcu okazało się? Że ratusz jest za mały...

Tym samym duchem przeniknione są skargi na stęchliznę w rzeźbie, gdzie autor wydrwiwa manię alegoryj i szablonowych kopij klasycyzmu a domaga się od dłuta tematów żywych niekłamanych naturze i prawdzie. Ciało ludzkie — to najpiękniejsze piękno a w niem największe źródło artystycznego zapału. Na co szukać fałszywych bogów? I malarstwo dobrze zrobi, jeśli zarzuci formy konwencyonalne i mdłe wzory Pilotych i Kaulbachów, a w miejsce napuszonej, koturnowej teatralności, odtwarzać zechce prawdziwe kształty i uczucia—a nadewszystko przyswoi sobie *plein air*. Dziś, kiedy godłem ludzkiej inteligencyi jest prawda, jasność, szczerość, wyrazistość i swoboda, tylko pełne światło dnia na płótnie może je uczynić zrozumiałem i miłem.

Nad scenami rodzajowemi z życia niemieckiego, w których zawsze dużo gruchania, czułości, psów, kotów, dzieci, kaczek autor krzywi się z takiem obrzydzeniem, że w zapomnieniu bierze ochota wyciągnąć doń rękę i podziękować. Więc jest, chwała Bogu, ktoś w Niemczech, co w tę powódź emetykowego wina pluje? I my więc użyjmy sobie: tfu! i tfu!

Ze wszystkich sztuk najszczęśliwszą w Niemczech jest muzyka. Gdy o nią chodzi, o szkoły odpowiednie i sale koncertowe, o stypendya i zapomogi dla kompozytorów i wirtuozów—rząd rozstaje się z swem sknerstwem i hojną dłonią rozrzuca na okół pieniądze. Naród ma melodyi do syta, rozpieszcza się nią i denerwuje i choć na tem polu zjednywa sławę, lepiej byłoby w połowie co najmniej skwitować z niej a wydobyć z poniżenia i otrzeć z wiekowego pyłu inne sztuki.

Autorowi najwięcej jednak leży na sercu najszersza kraina piękna: literatura nadobna i jej najszlachetniejszy wykwit: dramat. Tutaj harcuje sobie dziko i szpicrutą wali na wszystkie strony

Odtwarzać tych szalonych rzutów nie będę — bo każdy z nas łatwo się ich domyśli. Komuż nie wiadomo, ile śmieszności, filisterstwa, jałowej erudycyi, serwilizmu i trupich zapachów tkwi w literaturze, której tak niedawno jeszcze przyświecało tyle gwiazd pierwszej wielkości. Język niemiecki po dawnemu jest szczudłowaty, suchy, zawiły i niepojęty. Taki Du Bois-Reymond skarży się na zupełny jego upadek. A styl urzędowy, kancelaryjny tak zręcznie naśladuje hieroglify, że podsądny nigdy z wyroku swego mądrym być nie może, czy został skazany czy uniewinniony...

Akademicy do grona swego nie wpuszczają poetów i nowelistów, i tak zmonopolizowali dla siebie instytucyę nieśmiertelnych, że *L'immortel* Daudeta robi wrażenie, jak gdyby był mylnie zaadresowany.

A cenzura teatralna? Heine zamiast przedmowy do *Księgi Le grand* dał kilkanaście wierszy kresek, które usiał paru odległemi od siebie wyrazami, łączącemi się w takie zdanie: *Die Deutschen Cenzoren sind Dummköpfe*. Nasz bezimienny idzie wprost do myślenia, że ich uważa za *Eselkøpfe* — a na dowód przytacza dużo próbek, których komiczność siłe nie oparłby się nawet najsurowszy z trapistów.

Ale nie chce on działać samą tylko satyrą, więc wgląda i w prawo państwowe i gromadzi cytaty z Bluntschlego, który o stróżach moralności na scenach germańskich nie o wiele pochlebniejszy miał sąd.

Ale nie będę cię prowadził dalej, czytelniku, po tej stajni Augiaszowej, jak mój bohater nazywa swe ojczyste piśmiennictwo i artyzm. Na zakończenie tylko jeden zabawny jego *lapsus calami*. Ażeby pisarzom zyskać mecenasów w sferach rządowych — naturalnie nie w duchu protekcyi Ludwika XIV — deklamuje o znaczeniu literatury: „Wielka rewolucya francuska jest faktycznie dziełem kilku pisarzów... Kto zbudował podwalinę dla narodowych dążeń do swobody, jeżeli nie Herwegh, Freiligrath, Laube?“

Nie wątpię, że po tym argumencie, rząd niemiecki da nareszcie posłuch wezwaniu Karola Bleibtreua.

Bleibtreu bowiem tylko może być autorem dziełka, o którem mowa. *Ex ungue leonem*. W każdych pięciu wierszach można go poznać odrazu. Nikt inny nie rżnie tak gorzkiej prawdy, jak on; nikt inny w całych dzisiejszych Niemczech nie ma tak jadowitego żądła w swym języku, barwnym, skrzącym się od epitetów i porównań, a zarazem rozczochranym i namiętnym. Ma on zresztą swe stałe bolączki, na które utyskuje ciągle; a temi są: gadzinowa prasa, idyotyczna krytyka, własna zapoznana wielkość, nietykalny w jej oczach Paweł Heyse, książkowstręt ks. Bismarka. To jego *ceterum censeo*, którym kończy zawsze, czy zaczął od polityki, czy od Zoli, czy od pogody, od pięknej figurki, lub... żydów, których kocha równie, jak — cenzorów niemieckich.

Już chciałem te kartki oddać na pocztę, gdy wzrok padł na najświeższy numer tutejszego dziennika i wyczytał wiadomość, iż wobec olbrzymich postępów kolonizacyi pruskiej w Poznańskiem, rząd widzi się zmuszonym zwiększyć skład jej urzędników. Jeżeli to nie przechwałka, a nie wygląda na to, gdyż raport wyliczający nowe podboje, nie przemilcza i kilku porażek, tedy na co niemcom sztuka, a... nam płacz i zgrzytanie zębów?..

Cezary Jellenta.

TEATR.

Karol Gutzkow: *Uriel Acosta*, tragedya w 5 aktach (przekład wierszowany Mikołaja Bołoz Antoniewicza).

Złośliwi utrzymują, że arcydzieło Gutzkowa ukazało się na scenie warszawskiej o dziewięć lat zawcześnie, bo dopiero w r. 1879 obchodzić ono będzie swój półwiekowy jubileusz... Daleki od ironii, zapytuję mimowoli: dlaczego tak późno? Niechaj tę kwestyę przyszły rozstrzyga historyk; obecnie poprzestańmy na pewności, iż zjawisko dane, odświeżające zatęchłą atmosferę sztuki, a więc godne szczerego poklasku, z potrzebami chwili dzisiejszej w dalekiem tylko zostaje powinowactwie. Wywołały je nie fale prądów społecznych, ale osobiste usiłowania artysty, pragnącego swój repertuar nową zbogacić kreacyą. Stanął tedy przed nami tytan, mówiący językiem bogów—czysty a samodzielny, chociaż związkami uczuć serdecznych spętany i przypomniał szarej zniwelowanych umysłów ciżbie — o walce, jaką z tłumami wiodą od wieków podobni do Sokratesa i Spinozy atleci.

Tło znakomitej tragedyi dziwną odznacza się jednolitością. Na gościnnym gruncie rzeczypospolitej holenderskiej, w Amsterdamie, kwitnie gmina żydowska: nikt obcy do spraw się jej nie miesza, żaden tuziemiec spokoju nie zakłóca. Jedynym, ale strasznym dla niedowiarków tyranem, któremu ogół z bezwzględną ulega pokorą, jest wszechwładny kahał. Gdzieindziej prześladowani, tu — swobodni wodzowie Izraela dają uczuć swą siłę duchom niepodległym. Pośród licznego fanatyków grona, osiadłego w murach „Wenecyi północnej," dwa główne uwydatniają się typy: Ben Akiba (p. Rapacki), szczęśliwy w swem zasklepieniu umysłowem, promieniejący wiarą, siwobrody starzec, i De Santos (p. Leszczyński), twardy, posępny stróż prawa, żelazny młot na heretyków, kapłan boga zemsty i nienawiści. Najbliższym tej drużyny jest wuj bohaterki, De Sylwa (p. Szymanowski), lekarz-teolog wyznawca Talmudu i wielbiciel Platona, słaby charakter, postać chwiejna raczej, niż dwulicowa: w roli prześladowcy nigdyby sam nie wystąpił — do łez wzrusza go cierpienie, podłość odrazę w nim budzi; ale ręki do ocalenia bliźniego — tam, gdzie się sparzyć można, nie przyłoży on nigdy. Obok Sylwy tu i owdzie spotykamy często Ben Jochaja (p. Prażmowskiego), jedyną może w całej tragedyi postać, która poza interesem osobistym żadnej nie uznaje zasady: bogacz a bywalec, obojętny dla wiary ojców, zarówno jak i dla filozofii, pragnie Judytę, wbrew jej woli, pojąć za żonę. Nie przebiera on w środkach, urąga nieszczęsnemu rywalowi, a nad ojcem narzeczonej groźbę bankructwa zawiesza. Figura to zresztą pospolita i urokowi demonicznemu obca. Daleko wyraźniej odbija od tła charakter Manassesa Wanderstratena, ojca Judyty (p. Grzywińskiego). Ten się już zupełnie z grubych pęt mozaizmu uwolnił, pałąc, śród miękkich wygód życia, wonne kadzidła mistrzom sztuki rzeźbiarskiej, chociaż zakorzenionym przesądom—wojny wypowiadać nie myśli, a szermierzowi postępu — śmiałość za wadę poczytuje. Wyklętemu wszakże nie odmawia opieki — gotów go nawet własnym nazwać zięciem; ale gdy sybarycie zagrożono ruiną materyalną, zrywa stosunki z upadłym na duchu Akostą i Ben Jochajowi córkę oddaje. Na pierwszym planie, obok Uriela (p. Kotarbińskiego), stoi Judyta (p. Marcello), tuż za nim — ociemniała jego matka (p. Rakiewiczowa) z dwoma młodszymi braćmi, a głębiej, w tem samem kole wybranych — mgłą przysłonięta, zagadkowa, epizodyczna postać ośmioletniego chłopięcia, przyszłego filozofa, Barucha Spinozy. Uczeń bohatera bynajmniej się do sprawy nie miesza, i jedno tylko, zanotowania godne wypowiada zdanie: „kwiaty żywe — to myśli boże, kwiaty zerwane — to pojęcia ludzkie." Błyszczy on, niby zawieszone w powietrzu, widmo świetlane, przypominając o podobieństwie, jakie między jedną z jego życia kartą a osnową tragedyi zachodzi. Akosta niema w swem otoczeniu godnego siebie towarzysza. Jest on samotnym wyobrazicielem potęgi umysłowej, uosobieniem twórczego przeczucia, natchnionym nowożytnej Pallady kapłanem, upadającym w walce z przemocą i własnego serca słabością.

W pierwszym już akcie Uriel Akosta olbrzymieje przed oczyma widza: każdem słowem, każdem czynem skreśla on coraz wyraźniej i zabarwia swe oblicze duchowe. Czy się styka z dawnym mistrzem, którego przerósł o kilka szczebli, czy z protekcyjnie przemawiającym rywalem, czy z zapowiedzią klątwy, zawieszonej niby chmura piorunowa, nad jego księgą i głową — zawsze a z coraz większą siłą wybłyska na czole tytana jeden rys przeważny— znamię idealnego kultu niepodległej myśli. Uciekając od Judyty, Ben Jochajowi zaręczonej, miał już opuścić Holandyę, by w Heidelbergu lub innem jakiem ustroniu pracowity pędzić żywot, gdy rada kapłanów oddała jego dzieło pod cenzurę Sylwy. To go od podróży odwiodło: „wojnę duchowi wypowiedziano" — szermierz z niezachwianym czeka na nią spokojem. W najpiękniejszym ze wszystkich akcie 2-im Uriel posągowych dorasta rozmiarów. Dzika nad nim huczy klątwa. Gdy wiernym na stronę odejść kazano, odstępuje go nawet wybranka, Judyta. Gardząc bronią fałszu i bladej pokory, lituje się on szczerze nad ciemnymi współbraćmi, co go śliną wężowego obryzgali jadu. Potęga altruizmu, zapału i prawdy, z ust jego wiejącej, powinna mu była zjednać zwolenników; ale prócz córki Manassego, która hamowana zrazu bojaźni i wstydu więzami, rzuciła się lubemu w objęcia, w tej zenitowej chwili nikt go przyjaznem nie otoczył ramieniem. W akcie trzecim zastyga nieco ruch dramatyczny — ważą się losy bohatera. Podjął walkę, z której albo trupem, aureolą męczeńską opromienionym, albo nędznym wyjdzie robakiem. Odwołanie rzekomych błędów, połączone ze straszną w synagodze pokutą— oto cena, za jaką ma kupić spokój ślepej matce, a sobie gniazdo usłać domowe. Rzecz dziwna— uczenica nawet jego, Judyta ofiary tej po nim żąda... „Prawdę wyrzekł Sylwa stary, że w narodzie Izraela tkwi głęboko duch rodzinny..." Stało się: zapukał do synagogi i przez okropny poniżających prob przeszedł szereg. Odtąd budzi on w nas raczej litość, niż uwielbienie. Znika śmiały obrońca niezależnej myśli — pozostaje „tragos," bezbronny losów przeciwnych skazaniec, syn i kochanek, niszczący najdroższą cząstkę swej istoty, by młodej Judycie i starej Esterze wątpliwe zapewnić szczęście. Zrywa się jeszcze chwilami duch spętany i Galileuszowem „E pur si muove" opromienia czoło; ale są to już światełka przedzgonne, podobne do ostatnich błysków gasnącej lampy. Ciężka z własnych przekonań ofiara poszła na marne: starej matce grób wykopano, a Judyta Ben Jochajowi oddała rękę. Córka Manassego skróciła sobie niebawem życie trucizną, Akosta wystrzałem z pistoletu. Nad zwłokami obojga zakrakał tryumfalnie De Santos. I jak w naszej *Maryi*, na „trzech mogiłach w posępnej drużynie" żałobna zaległa cisza.

„Uriel" (p. Kotarbiński) odbiera na scenie naszej zasłużone oklaski i wieńce. Względem Judyty (p. Marcello), sympatycznie, ale nieco obojętniej zachowuje się różnobarwny ogół. Czemu to przypisać? Talent artystki jest w pełnym rozkwicie, a znana jej sumienność żadnemu tu nie uległa zaćmieniu. Jeżeli zaś w danej roli mniej się nam, niż w innych podoba, wynika to zapewne stąd, że charakter pięknej córy Manassesa, niedostatecznie przez autora pogłębiony, a przechodzący dwukrotną agonię (raz — przy końcu trzeciego aktu, gdy Uriel zapukał do bram synagogi, drugi raz— w chwili skonu), za słabo ku sobie pociąga inteligentną wykonawczynię, któraby może w Judycie czynniejszą i pojętniejszą uczenicę Akosty widzieć pragnęła. Dwa typy kapłańskie (Ben Akiby i de Santosa) w pp. Rapackim i Leszczyńskim dzielnych znalazły odtwórców. De Sylwa natomiast w krzywem przejrzał się zwierciedle... Nikt nie wątpi, że p. Szymanowski jest wybornym komikiem: gra on po mistrzowsku wesołych łobuzów, blagierów, pieszczochów, hipokrytów, tchórzem podszytych junaków, jednem słowem szczęśliwie z zadania wywiązuje się tam, gdzie humor i dowcip sztywną powagę do służby kuchennej zapędza; tym razem wszakże na obce wstąpił pole. Stary lekarz-teolog należy do kategoryi mędrców oportunistów. Nie bardzo to ponętny, ale idący po ubitym torze seryodramatyczny charakter. Wiolinowa barwa głosu, ton płytki a lekki bynajmniej mu nie przystoi. Gdy w akcie drugim, oceniwszy dzieło Uriela, powiada Sylwa, że wiele zdań apostaty bez wahania wpisałby do Talmudu, a daleki jest od potępienia książki, bo „przed Platonem nie chce się rumienić," — słowa te poważnie wyrzeczono, otrzymują w ustach p. Szymanowskiego fałszywy, bo humorystyczny pokost. Na szczególne wreszcie wyróżnienie zasługuje gra p. Rakiewiczowej, która zlekka tylko naszkicowany, ale uroczy charakter kochającej syna, matki ociemniałej — głęboko pojęła i swoim zwyczajem wycieniowała starannie.

Tragedya Gutzkowa długiem na scenie warszawskiej cieszyć się pewno będzie powodzeniem. Chociaż broń jej filozoficzna, ze starego idealistów teutońskich wzięta arsenału, żadnej nie zdobędzie fortecy, ale wytworne dzieło entuzyastycznego przedstawiciela „młodych Niemiec," a nadewszystko dramatyczny wizerunek wspaniałej postaci typowej, walczącej z zaślepioną synagogą o prawa naturalne, od czasu do czasu choćby w umysłach naszych budzić będzie natchnienia. Żałować tylko wypada, że pośród długich nad wystawieniem tragedyi zabiegów, miernej a przestarzałej pracy Antoniewicza — nowym, bliższym oryginału nie zastąpiono przekładem.

A. G. B.

POEZYA.

E NOTRIO ROMANO.

(*Giosuè Carducci*).

DO PEWNYCH KRYTYKÓW.

Nie, nie ma oczu, jak ta Magdalena
Mgławych i pełnych wody;
Nie, olejków nie chowa moja Kamena
Na zadawnione wrzody.

Ani Chrystusy wy; w każdej przystani
Brudny duch wasz nierządnie
Ladaczył się; jeśliście wyszli uszargani,
Niech w to policya wglądnie.

Lecz oto Fulwia, gdy kształty urocze
Z miękkich puchów wychyla
I drżącą ręką zburzone warkocze
Poprawia i przyszpila,

Fałd zmiętej sukni gładząc, w całej twarzy
Różowa i pokryta
Potem rozkoszy, gdzie się żarzy
Lubieżna Afrodyta;

Fulwia, którejby sama Lais sekretów
I sztuk przyznała nowość:
„Jakże“ — powiada — „nie cierpię poetów
Co negują duchowość!“

A bufon Mena, któremu rozpiera
Kadłub wstrętne zepsucie,
Który z lic wonną rękawiczką ściera
Znak po dłoni lub bucie,

Powiada: „Lubię ja, pijąc falerno
Polatać w wyższej sferze;
Czuję się słabo..., ulgę mi niezmierną
Sprawia myśl o eterze...

I truflach. Słowo daję, że potrzeba
Po kapłonie gwiazd paru.
Otwórz poeto! Nieba, nieba, nieba,
Choćbym dostał kataru...

W obliczu nieba, śród czystszych uciesze
Chłodną rozgrzane żądze.
Pieśń to jest wiara!“ I przesuwa w kieszeń
Zrabowane pieniądze.

Oto Pomponiusz, na którego słowo
Włosy i na zepsutą
Maściami corę Pimplea chyli głowę
Jak ten pyzaty *putto*,

Który w kościołach Jezusa z sufitu
Wychyla się na chmurze
Powyzłacanej dla wiernych zachwytu
Jak bawełniane róże.

„Miłość, ach miłość!“ — rży. „Świat ideału
W mleku i miodzie się lęże.
Żaby — jak ten — zostawią trochę kału
A trochę żółci węże.

Cóż tam, że osioł czasem z męki pęknie
Lub głód go pchnie do grobu.
Na giełdzie akcye me tuczą się pięknie
A Pegaz mój u żłobu.

Papiery państwa mam, jestem amantem
Hrabiny, organ Środka
Sprzyja mi stale i zestawia z Dantem...
Idealizm — rzecz słodka!

Ja znaczę sztukę, za ziemskości ślady
Co skrzydła niebowiejne
Rozpędza; zdala Muzy z barykady,
Gracye petroolejne!“

Tak damy, wieszcze i mędrcy z nad tłumu
Odmawiają mi z giestem
Tragicznej grozy świętego wawrzynu.
— Precz!.. Czy natrętny jestem?

Ja kiedy wstąpię na pagór stuleci
Sam, ze zmarszczką na czole,
Rój strof mię zaraz w około obleci
Niby stado sokole.

A każda strofa ma duszę i skacze
Po dolinie kaskadą
I pędzi niby niespętane klacze,
Pędzi z trąbą i szpadą.

Szpadą, przy ziemi polatując, rąbie
Olbrzymy i padalce;
Biesiadnych mężów pobudką na trąbie
Zrywa ku świętej walce.

Gdy na powietrzu przelecą te źrebce
Brzmią skróś dolin od echa
Kości umarłych; każdy grób kolebce
Życzliwie się uśmiecha.

A blade chłopię, któremu już łzawy
Spada na oczy welon,
Marzy śmierć i grób dla ojczystej sprawy
Na majdanie uścielon.

Naprzód, hej naprzód, wy zbrojni wysłańce
Wrażej siły i wiary;
Na skrzydłach pieśni na szczęśliwsze szańce
Ślę wam miłość bez miary.

Wam życie moje; za lat już niewiele
Ja w mogiłę nieznaną
Zstąpię: walczcież wy, dziedzice-mściciele
Przeciw waszym tyranom.

Egrot.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kwestya dla biednych. — Oszukiwanie swego egoizmu.—Bilet na bal i kwit na podatek dobroczynny.—Likwidacya wydawnicza. — Które miejsce zajmuje książka w naszych potrzebach. — Nasza inteligencya wobec chłopów szweckich. — Przymusowy chrzest wsi poznańskich.—Materyał dla lingwistów.—Sprawa pastora Bernera.—Lekkomyślna fantazya.—

Byłoby niewątpliwie zaszczytniejszem i dla nas i dla czasu, w którym żyjemy, dla uczuć i zasad, któremi wyzłacamy sobie... usta, gdybyśmy serc naszych nie kładli, jak winogrona, pod prasy kwest modnych i nie wytłaczali z nich tym sposobem miłosierdzia. Bo ostatecznie zastanowiwszy się trzeźwo nad tą naszą cnotą, widzimy, że ona tryska nie z tego źródła, którego imię nosi. Przyjdźmy do szczęśliwców i powiedzmy: dajcie jałmużnę ubogim — jedni się skrzywią, drudzy uciekną, inni kwestarza za drzwi wyproszą. Ale zawołaj do tych samych ludzi: panowie i panie, bądźcie łaskawi tu zatańczyć, tam pogapić się, tam kupować, a cząstka waszych wydatków przypadnie biednym — natychmiast tłumnie pośpieszą. Każdy z nich żałować będzie rubla na ofiarę dobroczynną, ale chętnie poświęci sto, jeżeli do tej ofiary przyczepiona będzie jego własna, bodaj najdrobniejsza, przyjemność. Nasze miłosierdzie jest tylko procentem od naszych rozrywek. Czynimy je tak, jak gdyby ono nam samo przez się sprawiało odrazę; uważamy je za skuteczne w chorobach społecznych, ale zażywamy jak gorzkie lub obrzydłe lekarstwo — w opłatku, piwie, herbacie, kawie, w czemś, co nam smakuje. Sami wynaleźliśmy rozmaite sposoby i środki okpiwania własnego egoizmu: Zdaje się, jak gdybyśmy mówili: biednym nie damy nic, ale damy kasie teatralnej, koncertowej lub balowej, damy ładnym lub szanownym kwestarkom, niech one z naszych składek wesprą żebraków, aby oni tylko od nas bezpośrednio nic nie dostali. Jest to szczególne upodobanie. Co do mnie, wyznaję, że ono mi sprawia wstręt niewypowiedziany. Iść po to na koncert, ażeby studenci mieli opłacone wpisy, tańcować dla tego, ażeby ubogie dzieci miały przytułek szpitalny w chorobie, kupować wazon porcelanowy, ażeby te dzieci mogły odetchnąć świeżem powietrzem, odmawiać nędzy, ale nie odmawiać kwestującym dla niej ładnym twarzom i kształtnym figurom — to jest okropne. Chętnie zrzekłbym się tych wszystkich rozkoszy za zwykłe opodatkowanie: wolałbym otrzymać kwit z instytucyi dobroczynnej, wzywający do zapłacenia przypadającej ode mnie obowiązkowej należności, niż bilet od komitetu balowego, proszącego moje nogi i kieszeń o ofiarę dla biednych. Narody cywilizowane, dojrzałe, tylko w wypadkach wyjątkowych tym sposobem pompują miłosierdzie; główny zaś dochód czerpią z opodatkowania stałego, któremu każdy obywatel kraju według zamożności poddany być winien. Tymczasem są u nas ludzie bardzo zamożni, którzy nie ponoszą żadnych z tego tytułu ciężarów, a rozkład dobrowolny jest tak dziwacznie ustosunkowany, że kapryśny przypadek nie mógłby tu sprawić więcej figlów. Przesuwają się przede mną w tej chwili wszystkie trudności ułożenia danin dobroczynnych w pożądany system; ale to nie zmienia faktu, że nasze tańcujące, rautujące, koncertujące, zalotnicze miłosierdzie jest parodyą śmieszną i dla uczuć moralnych niezdrową. Zamiast dawać chleb głodnym, wyprawiamy sobie uczty, ażeby z biesiadnych stołów rzucić im do ogryzienia kości. Jest to także jałmużna, ale jałmużna samolubów lub dzieciaków.

Czytając długie spisy książek niedawno wydanych, a wystawionych przed nowym rokiem na sprzedaż po zniżonej cenie, dostrzegamy w tej likwidacyi naszego piśmiennictwa smutne znamię czasu. Nic to nie znaczy, że ona występuje w przebraniu rozmaitych przywilejów, nadanych przez prasę swym abonentom, z pod tej szaty wygląda widmo zastoju. Książki u nas są bardzo tanie, czasem tak tanie, że anglik lub francuz zdziwiłby się nad ich ceną. Jeżeli więc schodzą jeszcze niżej, to już dowód albo biedy społeczeństwa, albo jego ciemnoty. Nie zaprzeczam pierwszej, ale druga również swój wpływ wywiera. Nasz ogół nie zrósł się tak z literaturą, jak się z nią zrasta w narodach wysoko ucywilizowanych. Które miejsce zajmuje ona w szeregu potrzeb średnio ukształconego polaka, oznaczyć trudno, ale zdaje mi się, że następuje po winie i kawiorze. Jest jeszcze u nas na prowincyi dość liczny zastęp mieszczan, niższych urzędników, przemysłowców i obywateli ziemskich, którzy nie prenumerują żadnego pisma. A iluż „przedstawicieli czegoś tam“ odmówiło sobie tego zbytku przy zmniejszonych dochodach! Wartoby tych panów wysłać na kilkomiesięczne osiedlenie do.... Szwecyi, między tamtejszych chłopów, niechby z nimi porozmawiali o swojej „oszczędności.“ Może to jest przesada języka miłości własnej, ale zdaje mi się, że nasi „przedstawiciele czegoś“ więcej by skorzystali na czytaniu pism i książek, niż na spożywaniu tortów i sardynek. Gdybym z nimi mógł pomówić szczerzej, na cztery oczy, wykazałbym szczegółowo i przekonywająco, jakie mają powody do podtrzymywania swej literatury. Na tem miejscu podkreślę jeden. Mianowicie, szanowni „przedstawiciele czegoś,“ czy sądzicie, że przez ten mrok, którym przesłaniacie dobrowolnie swój rozum, będziecie mogli dojrzeć drogę postępowania ku celom osobistym i zbiorowym? Jesteście w grubym błędzie. Pozostaniecie stadem owiec, czekającem swego rzeźnika — niczem więcej. Jeżeli was nie zgubi ciemnota, to spadnie klątwa na wasze potomstwo. W niej już nie chodzą narody, które żyć pragną; jest to całun umierających.

Szczęściem, że niemcy nie wiedzą o naszym wstręcie do kultury własnej, boby usprawiedliwiliby nim swoje apostolstwo germanizacyjne; przyznać trzeba — uderzyliby nas dowodem bardzo silnym. Rzekliby poprostu: ponieważ sami oświecać się nie chcecie, a ciemnym w Europie żyć nie wolno, więc musicie przyjąć cywilizacyę naszą. Byłoby to rozumowanie dość logiczne. Ale — jak rzekliśmy — nie domyślają się istnienia tej racyi i używają tego argumentu, który u nich zastępuje wszystkie inne i który dawniej zwał się *argumentum baculinum*, a dziś — rozumem stanu. Dzięki tej sile przekonywającej przechrzcili znowu szereg wsi w Poznańskiem na swój język. Nowe imiona, jakie im nadano, bezsprzecznie wzbogaciły lingwistykę i przyszłym jej uprawiaczom dały ciekawy materyał do badań. I tak (według *Kur. warsz.*): młyn Piesneński znaczy po niemiecku: *Müllerthal* (Dolina młynarska), Człopy—*Elsen* (Olsze), Gębarzewo — *Grünfeld* (Zielone pole), Gębarzewko — *Ebenfelde* (Równe pole?), Leśniewskie olendry—*Frühauf* (Wstawający rano), Przyborowskie olendry — *Jägerswalde* (Las myśliwski), Rakowo — *Ruhfeld* (Pole wypoczynku), Słabomierz — *Rosenfelde* (Różane pole) itd. Wyobrażam sobie, jak przyszły Bopp lub Schleicher pisać będą obszerne rozprawy o szczególnej przemianie językowej, która z Gębarzewa

wytworzyła *Grünfeld*, a z Gębarzewka — *Ebenfelde*. Gdyby zaś z naszej strony zginęły wszelkie wskazówki objaśniające tajemnicę, niewątpliwie każdy z tych uczonych wyrzuciłby z serca głębokie westchnienie: wielka szkoda, że nauka odziedziczyła po przeszłości skąpy skarb tej pięknej mowy! Bo dopóki jakiś język żyje, jest on w oczach niemców skazaną na zagładę gwarą; ale gdy zginie, gdy po nim zostaną tylko jakieś szczątki w kronikach lub napisach grobowców, natychmiast staje się pięknym, kochanym i jako skarb naukowy cenionym. Jakie to jest wspaniale głupie!

Nie pojmuję, czemu kilka pism naszych, które przed dwoma laty za złośliwym młokosem powtarzały bajkę, oskarżającą pastora Bernera ze Zduńskiej Woli o niemczenie nazwisk polskich przy chrzcie ewangelików jego parafii, zamilkły, skoro Izba sądowa przed tygodniem uznała ten wymysł za oszczerstwo i skazała potwarcę na karę pieniężną lub kozę. Czy przyjemniej unurzać kogoś w błocie, niż go umyć? Czy tak wiele jest ludzi uczciwych, że aż nudno w tej jednostajności i trzeba ją urozmaicać sztucznem wytwarzaniem niegodziwców? W swoim czasie, poznawszy sprawę dokładnie, stanęliśmy w obronie pokrzywdzonego; że nie zrobili tego inni, można było usprawiedliwić chęcią wstrzymania się ze zdaniem, dopóki sąd wątpliwości nie rozjaśni. Ale teraz już rozjaśnił — więc czegóż jeszcze brak? A nie chodzi tu wyłącznie o powrócenie godności obywatelskiej jednemu człowiekowi, ale o wykreślenie z naszego życia objawu niepożądanego i ciągle rozszerzanego. Niedawno zamieściliśmy protest innego pastora, którego w pewnym dzienniku galicyjskim oskarżono o germanizacyę. Widocznie przeto istnieje śród nas jakaś lekkomyślna, czy złośliwa fantazya, która straszy ogół widziadłami. Sprawdziwszy dwa kłamstwa, należałoby ją uleczyć lub okiełznać. Nie niegajmy temu zakażeniu opoki, które pobudza do prześladowań, posądzeń i nienawiści plemiennych lub wyznaniowych. To jest złośliwy nowotwór w ciele każdego narodu, a w naszem bardzo niebezpieczny.

Teatr nasz, który odwrócił znane twierdzenie starych sofistów i dowodzi, że żółw może dogonić Achillesa, wystawił opleśniałego *Uriela Acostę*. Nie mam nic przeciwko temu, gdyż wyjdzie to na zdrowie naszej publiczności, jeśli ona przynajmniej co lat kilka obejrzy coś innego, niż najrozmaitsze widoki tokowisk salowych, ukazywanych jej przez francuzów i ich wychowańców.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwo kredytowe ziemskie. Dyrekcya główna Tow. kred. ziemsk. w Królestwie Polskiem w tych dniach rozesłała do Dyrekcyj szczegółowych nową ustawę Towarzystwa z objaśnieniem, w jaki sposób ma być wykonywaną. Nim będzie uchwalona instrukcya, w razie wątpliwości co do stosowania nowych przepisów, Dyrekcya główna zaleca trzymanie się dawniejszych postanowień. Za termin wprowadzenia nowej ustawy ma się uważać dzień 13 listopada 1888 r. Wmyśl dotychczasowych przepisów i na mocy aktów przystąpienia, zeznanych według przepisów dotychczasowych mogą być rozpoznawane i przyznawane te tylko pożyczki, czy to z taksy, czy szacunku normalnego, czy z konwencyi, o ile akty przystąpienia sporządzone były przed 13 listopada r. b. i przed tą datą w Dyrekcyi złożone. Dawne przepisy można stosować do segregacyi i zwolnień również o tyle, o ile podanie w tym względzie przed datą powyższą w Dyrekcyi złożono. Postanowienia co do wszelkich przystąpień udziałowych na podstawie aktów po terminie powyższym, lub po tejże dacie w Dyrekcyi złożonych, muszą być wydawane według nowej ustawy, a akty przystąpienia powinny być koniecznie sporządzone według nowego wzoru, który Dyrekcya główna szczegółowym jednocześnie przesłała. Wreszcie Dyrekcya główna uprzedza, że ponieważ według nowej ustawy nie będą udzielane pożyczki z szacunku normalnego, a pożyczki z taksy nie mogą być wydawane w sumach mniejszych, niż 300 rs., zatem należy w tym względzie udzielać właściwe objaśnienia interesantom, aby ich na straty i zawody nie narażać.

Zjazdy. W Żytomierzu odbył się niedawno zjazd przedstawicieli przemysłu górniczego i właścicieli ziemskich z Polesia wołyńskiego w sprawie podniesienia i rozwinięcia przemysłu górniczego w majątkach poleskich przy pomocy towarzystwa udziałowego, któreby eksploatowało bogactwo kopalniane, oraz zbudowało kolej fabryczną. Ponieważ miasteczko Emeńczyn stanowi główny punkt przemysłu miejscowego, przeto projektowanem jest połączenie go koleją ze stacyą Wilno i drogami Południowo-Zachodniemi.

— Zapowiadany zjazd wytwórców lnu odbędzie się w Petersburgu w lutym r. p. Przedmioty narad: 1) przyczyny upadku cen lnu ruskiego za granicą; 2) środki ku podniesieniu ceny lnu, mianowicie urządzanie w Pskowie biura informacyjno-komisowego; 3) przeciwdziałanie agentom zagranicznym, skupującym len w gub. pskowskiej po niskich cenach skutkiem zmowy pomiędzy agenturami; 4) ustanowienie normalnej objętości pak dla wysyłanego za granicę lnu, aby łatwiej wykryć jego fałszowanie; 5) oznaczenie najpożądańszej ze względów technicznych mocy włókna, czyli normy moczenia; 6) szerzenie wiadomości fachowych pomiędzy plantatorami lnu; 7) czy obecnego systemu gospodarczego pod względem produkcyi nie należy zastąpić fabrycznym, jak doradzają specyaliści.

Szkoły. W ministeryum dóbr państwa opracowano projekt urządzenia szkół dla dzieci włościan, trudniących się drobnym przemysłem wiejskim.

Bilety powrotne na wszystkich kolejach zamierza wprowadzić ministeryum komunikacyi, na wzór zagranicznych.

Węgla kamiennego znaczne pokłady odkryto w Dąbrowie pod Wieluniem.

„Gwiazdkę" doroczną, czyli bazar ze sklepami, gdzie się sprzedają przedmioty rozmaite, z potrąceniem pawnego procentu na cele dobroczynne, otwarto w Resursie obywatelskiej w bieżącym tygodniu.

Przemysł. Ministeryum dóbr państwa w celu podniesienia hodowli owiec, projektuje zakładanie w różnych miejscowościach owczarni zarodowych, przy których otwierane będą szkoły dla owczarzy z kursem praktycznym i teoretycznym.

— W ministeryum spraw wewnętrznych złożono projekt ustawy towarzystwa, które bierze sobie za cel zaopatrywanie włościan w inwentarz żywy dobrego gatunku przez rozsyłanie go i sprzedaż na wypłaty długoterminowe.

Handel. Przybył do Warszawy p. Juliusz Janczewski, zamieszkały od lat kilkunastu w Samarkandzie, w celu zawiązania stosunków zamienno-handlowych pomiędzy tutejszymi kupcami a wytwórcami na Wschodzie. Pan J. przywiózł z sobą na kilka tysięcy rubli dywanów ręcznej roboty, które zakupiła hurtem jedna z firm tutejszych. Przedmiotami dowozu ze Wschodu mogą być bakalie, rodzynki, wyroby jedwabne i wełniane: natomiast przemysłowcy tutejsi wysyłaliby na Wschód obuwie, kapelusze, bieliznę i t. d.

Instytut muzyczny. W miejsce zmarłego niedawno Brzoskiego, inspektorem pedagogicznym w Konserwatoryum mianowano prof. Gustawa Roguskiego.

Ministeryum skarbu poleciło kasom gubernialnym i powiatowym odsyłać uszkodzone banderole, jeżeli w takim stanie otrzymano je z ekspedycyi papierów państwowych, do wymiany na całe.

Spółki robotnicze. W ministeryum skarbu opracowują nową ustawę dla praktycznej w Cesarstwie formy spółek robotniczych, t. z. arteli.

Koncerty. Pod dyrekcyą p. Noskowskiego odbył się koncert na rzecz studentów weterynaryi.

— Koncert kompozytorski p. Piotra Maszyńskiego, dyrektora „Lutni," odbył się w tych dniach w salach Redutowych.

Kolej Terespolska. W d. 10 b. m. odbyło się drugie posiedzenie służby drogi Terespolskiej w sprawie ustawy emerytalnej. Tak samo, jak na Wiedeńskiej i Bydgoskiej, oświadczono się za utrzymaniem nadal kasy istniejącej.

Uniwersytet odeski d. 8 b. m. obchodził jubileusz 25-letniej pracy naukowej swego profesora, doktora zoologii, Aleksandra Kowalewskiego, znanego z badań nad rozwojem organizmów zwierzęcych.

Cukrownicy z Królestwa Polskiego starają się o zmniejszenie nagród asekuracyjnych z powodu, że towarzystwa ubezpieczeń w ciągu ostatnich lat zapłaciły przy wynagradzaniu pożarów ledwie 10% złożonych składek.

Towarzystwo miłośników czytelnictwa powstaje w Kownie. Ministeryum spraw wewnętrznych ustawę już zatwierdziło.

Dla dzieci wyszła powiastka p. M. G. Zielińskiej, nagrodzona na konkursie *Przeglądu pedagogicznego* p. t. *W szkole życia*, z rysunkami Pilatego.

Bibliografia. W. Sarnecki, *Nowelle*, Warszawa. Centnerszwer.

— W. Kosiakiewicz, *Widmo*, Kraków, Gebethner i Wolff.

Gwałtowne burze i ulewy nawiedzały prawie bez przerwy w ciągu ostatnich sześciu tygodni Szkocyę.

Szkody, zrządzone przez tegoroczną powódź wiosenną w Prusach zachodnich, w gruntach, domach i mieniu osobistem, oceniono ogółem na 9,280,000 m. Szkody w torach kolejowych, szosach, groblach i tamach wynoszą kilka milionów marek.

Nowy podatek. Rada miejska dobroczynności publicznej zapowiada nałożenie pogłównego podatku na mieszkańców Królestwa Polskiego na utrzymanie szpitala dla obłąkanych. Mieszkańcy m. Warszawy, jako dostarczający największej chorych, mają płacić po 3 kop. rocznie, mieszkańcy zaś prowincyi po 1 i pół kop.

Sprawy nadbałtyckie. Odbywają się w Petersburgu narady gubernatorów kraju Nadbałtyckiego nad wprowadzeniem tam reform. Nie posiędzie osobnej izby sądowej, lecz dozór nad sądami tamtejszymi podzielony będzie między izbami petersburską i wileńską. Porządek postępowania kryminalnego nie będzie się różnił od ogólno państwowego: najważniejszy wyjątek stanowi brak sędziów przysięgłych. Posady sędziów pokoju, śledczych, prokuratorów, tudzież członków sądu, będą mogli zajmować tylko ci, którzy odbyli studya w uniwersytetach ruskich.

W sprawie ulg wojskowych dla żydów w Królestwie Polskiem, gdzie istnieje oddzielny system obliczenia ludności, senat rządzący wyjaśnił: 1) za dowód pokrewieństwa popisowego z obecną osobistością, powinny tylko służyć akty stanu cywilnego lub metryki urodzeń i małżeństw członków rodziny, a w razie ich braku zastępują je wyroki instytucyj sądowych. Akty muszą być wydawane w całości. 2) Świadectwa urodzeń, wydawane przez rabinów w Cesarstwie za prawomocne mogą być uznawane w takim razie, jeżeli są poświadczone przez powiatowe lub miejskie urzędy policyjne i to nietylko w sprawie własnoręczności podpisu, ale i prawdziwości przytoczonych faktów.

Hacyfire, gazeta hebrajska w Warszawie, zawieszona na pewien czas, znowu zaczęła wychodzić na mocy pozwolenia ministeryum spraw wewnętrznych.

Mieszkanki Lwowa zawiązują „Towarzystwo św. Salomei," aby wspierać i opiekować się biednemi wdowami, szczególnie dzietnemi.

Kolonizacyę cyganów rozpoczęto na pruskiej Litwie. W ostatnim czasie wielu cyganów przybyło do Tylży. Trudnią się oni rolnictwem.

Kara. Sąd bytomski na Górnym Szlązku skazał bibliotekarza czytelni ludowej, Działacha, w Łagiewnikach, na 150 marek lub 30 dni więzienia za to, iż kilka zakazanych książek nie wycofał z biblioteki.

W Dreźnie dr. Feliks Pautyński, specyalista od chorób ocznych, założył klinikę własną.

Do dzisiejszego numeru dołączamy **Katalog** książek księgarni Kleinsingera.

WIECZORY RODZINNE

pod kierunkiem literackiem

M. J. ZALESKIEJ,

Autorki „Wieczorów czwartkowych,“ „Dwóch Sióstr“ i wielu innych książek dla dzieci i młodzieży.

Wychodzi i wychodzić będzie w roku następnym 1889 równie jak w bieżącym **w formacie powiększonym z dwoma dodatkami**, z tych jeden ilustrowany dla młodszej dziatwy, **drugi książkowy**. Zawiera powieści wyborowe dla młodzieży, które oprawne, w końcu roku tworzyć będą

Bibilioteczkę domową.

Obok treści nader urozmaiconej utworami utalentowanych autorów i autorek, **Wieczory rodzinne** na wzór najlepszych wydawnictw zagranicznych w tym rodzaju, podają zadania konkursowe z nagrodami, historyczne i inne, mające na celu rozwijanie umysłu i kształcenie charakteru, oraz konkurs robót dla panienek. Nagrody wyznaczają się z książek, albumów, rycin, fotografij i t. p.

Na rok przyszły redakcya zapewniła sobie współpracownictwo p. Zofii Urbanowskiej.

„Les dernières Cartouches“

Wyłączną sprzedaż Paryskiej bibułki do papierosów **„Les dernières Cartouches,“** uznanej w analizie porównawczej **Chem. Laborat. Cesar. Warsz. Uniwersytetu za najlepszą, powierzyliśmy** p. **Ludwikowi Silberlast, Warszawa Karmelicka Nr. 9.**

Ponieważ wielu warszawskich fabrykantów gilz do wyrobów swoich używa **lichą** bibułkę i takową jako wyrób z bibułki **„Les dernières Cartouches“** sprzedaje, przez co publiczność niejednokrotnie bywa **w błąd wprowadzaną i wyzyskiwaną**, zwracamy więc niniejszem uwagę, iż **oryginalną** jest tylko bibułka opatrzona **suchymi wyciskami „Les dernières Cartouches,“** co jest widocznem tak na książeczkach papierosowych **naszej firmy**, jak i na gilzach z naszej bibułki wyrabianych.

Wszelkie bikułki i glizy nie posiadające czytelnych wycisków „Les dèrnieres Cartouches,“ są pomimo szumnych etykiet, naklejanych na pudełkach, bezwarunkowo podrabiane.

Braunstein Fréres Paris.

ECHO MUZYCZNE
Teatralne i Artystyczne

Jedyny polski tygodnik artystyczno-literacki.

W obszernym dziale literackim daje powieści, nowele, dramata, komedye, monologi, poezye, studya artystyczne i literackie, artykuły bieżące, najobszerniej traktowaną rubrykę sprawozdań z ruchu artystyczno literackiego Europy; humoreski, opowiadania, pamiętniki artystów, niemniej sylwetki malarzy, artystów scenicznych, poetów, powieściopisarzy. Każdy numer zdobny ilustracyą społecznych postaci.

W dziale nutowym **ECHO** umieszcza kompozycye na fortepian, skrzypce i do śpiewu. Wszystko, co ruch artystyczny za granicą wydaje najlepszego, oraz najcelniejsze kompozycye pierwszorzędnych polskich kompozytorów, znajdują pomieszczenie w dodatkach nutowych. Zarówno rzeczy poważne, sztuki koncertowe, salonowe (*Moszkowski*, *Grünfeld*, *d'Albert*, *Scharwenka*, *Gadard*, *Durand*, *Grieg*, *Saint-Saëns*, *Brahms*, *Massenet*, *Tosti*, *Delibes*; *Gordigiani*), jak i utwory taneczne (*Millöcker*, *Suppe*, *Czibulka* i *Ertl*), oraz dzieła polskich kompozytorów (*Noskowski*, *Hertz*, *Paderewski*, *Gall*, *Zarzycki*, *Pankiewicz*), wreszcie tańce (*Lewandowski*, *Wroński*, *Rożalski*). podaje na przemiany ów dodatek, liczący w ciągu roku 80 arkuszy druku. Cena księgarska arkusza wynosi 20 kop., komplet więc nutowy **ECHA** według katalogowych cen wypada rs. 16.

Cena zaś ECHA wynosi w Warszawie: rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, **w Cesarstwie i na Prowincyi**: rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Prenumerujący rocznie bezpośrednio w Redakcyi mają prawo do wyboru **jednego z trzech poniżej wymienionych premiów bezpłatnych**:

I. Cztery partytury operowe na fortepian. 1) *J. Rossini*, Cyrulik Sewilski. 2) *Donizetti*, Napój miłosny. 3) *Mozart*, Don Juan. 4) *Meyerber*, Hugonoci w pięknem włoskiem wydaniu.

II. Dziesięć tomów powieści J. I Kraszewskiego: Hrabina Cosel tomów 2. Bratanki tom. 2. Żywot Pełki t. 3. Niebieskie migdały t. 3.

III. Album najnowszych tańców wybranych i ułożonych przez Leopolda Lewandowskiego z kolorową okładką rysunku Stanisława Lenca.

1) Ganne „Marsz francuski.“ 2) Ertl „Sen miłosny“ walc. 3) L. Lewandowski „Śmieszka“ polka. 4) L. Delibes „Król powiedział“ kadryl. 5) A. Czibulka „Rycerz szczęścia“ walc. 6) Ertl „Donna Clara“ kadryle. 7) K. Rożalski „Kapelusz bandyty“ polka. 8) L. Lewandowski „Strzemienny“ mazur. 9) L. Lewandowski „Przedświt“ mazur. 10) L. Lewandowski „Grajże grajku“ oberek. 11) L. Lewandowski „Rozmarzona“ polka mazurka. 12) A. Wroński „Do Krynicy“ galop.

Abonenci z prowincyi raczą załączyć do prenumeraty na koszta przesyłki: Nr. 1 i Nr. 2, po 1 kop. 50, premium Nr. 3 kop. 75. Adres Redakcyi: **Senatorska 26, Warszawa.**

Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

GEBETHNER I WOLFF

Największy wybór Fortepianów

BLÜTHNER,



MAŁECKI.

Sprzedaż na raty.

Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

Dentysta I. BAUMGART, Żelazna Brama Nr. 4. przy ogrodzie Saskim. Wprawia zęby sztuczne, leczy, plombuje i reperuje za możliwie przystępne ceny. 7—5

Są do nabycia w księgarniach dzieła utworu

PLATO v. REUSSNER

NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się języka niemieckiego **w 3-ch miesiącach bez nauczyciela.** Cena: kurs niższy k. 60, kurs wyższy rs. 2. Metoda angielska k. 75.

Najnowszy Elementarz

polski do bardzo prędkiej nauki rysunków, pisania, czytania i rachunków, nawet bez nauczyciela. Kosztuje z wzorkami rysunków i metodyką k. 25, tylko z wzorkami k. 10, bez wzorków k. 5.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 6—5

ZAKŁAD

ARTYSTYCZNO-MALARSKI

na porcelanie

J. Miniewskiej

27 KRÓLEWSKA 27

Poleca serwisy z najlepszej krajowej porcelany ozdobnie malowane: stołowe na 12-cie osób od rs. 45, garnitury do mycia od rs. 3 kop. 50, garniturki do herbaty z 16-tu sztuk od rs. 6. Na zamówienia herby, monogramy, oraz wszelkie prace w zakres malarstwa i rysunku wchodzące. 3—2

Czytelnia dla kobiet

stale zaopatrywana w nowości treści na wej i wybór dzieł beletrystycznych w pisma peryodyczne zagraniczne i krajowe, mieści się

na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 7.

Abonament miesięczny na książki:

w dwóch językach	**kop. 40,**
w trzech językach	**kop. 50,**
w czterech językach	**kop. 60,**
w pięciu językach	**kop. 70.**

Kaucya po rublu od książki.

Osoby, opłacające abonament, nic nie płacą za czytanie pism na miejscu.

Wejście jednorazowe

kop. 5. 10—8

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH.

Nagrodzone listem pochwalnym i medalami na Warszawskiej, Krakowskiej i Lwowskiej Wystawach Hygieniczno-Lekarskich, koncesyonowane przez Władze Lekarskie

Ekstrakt i Karmelki „Leliwa,“

przygotowywane podług wskazań Lekarzy i Chemików, pewniejsze i o 50 procent tańsze od zagranicznych; flaszka ekstraktu miodowo-ziołowo-słodowego kop. 75, tegoż ekstraktu z dodaniem chiny lub żelaza i chiny rs. 1, paczka karmelków kop. 15. Sprzedaż w Aptekach i Składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie. Główny skład **w Warszawie** w Składzie aptecznym Mrozowskiego i Spiessa, w Odesie u Gajewskiego, w Astrachaniu u Kerna, w Tyflisie u Ajwazowa, w Baku u Czyszkowskiego, w Moskwie u Mattejsena. 6—4

Magazyn Wiedeński

L. Kocha

2 MIODOWA 2

przygotował wielki wybór gotowej garderoby męzkiej podług wiedeńskiego kroju, najnowszej mody i po najprzystępniejszych cenach. Obstalunki podług miary wykonywa szybko i akuratnie. 3—0

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Декабря 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.